

Brzozowski Karol

DELI PETKO

POWIASTKA PODLUG LEGENDY

BULGARSKIEJ

Przed półwiekiem między dwom pasmami gór Rodopy i Bałkany inaczej niż dzisiaj wyglądał; siekiera i płomień nie miały jeszcze nadziei nadziei zwalczyć kiedyś olbrzymie dęby i buki, obedrzeć ściany jarów z zielonej i wonnej szaty lilaków, leszczyn i młodej grabiny, przeplecionej bluszczem i dżigrami *); na próżno jeszcze człowiek w dolinach w pobliżu wiosek kusił się walić niebotyczne czinary (jawory) i wiązy, rozsiadłe nad stami strumieni, gdzie igrały złotem nakrapiane pstrągi, pnąc się w górę huczącego wodospadu; nieśmiertelna siła wegetacji zagłuszyła rudunki i miejsca przeszłorocznych kukurudz i bastanów, i rzucała nieprzebyte zarośla jeżyn, paproci i bzów jednorocznych. Cała okolica między Wetrinem (Jenikej), Isladi, Wakarelem i Samakowem wyparta w górę, w tysiącnych rozdarta kierunkach, położyła się jak olbrzymia barykada

w poprzecz szerokiej paszczy potwornego olbrzyma, otwartej na wschód, olbrzyma grożące-

go tysiącem zębów skał, którego głowa rysuje się na zachodnim niebie czarna, groźna, kudłata lasami, posypana wiecznym śniegiem. Z gardzieli tej wylewają się wody Marycy na równiny Tatarskiego Bazardzika, porznięte kanałami, zieleniejące ryżem i zbożem, ożywione rykiem licznego bydła, i krzykiem żurawi i gęsi dzikich. Z tych równin dzisiaj pędzone parą lokomotywy idą na spotkanie Marycy, i długim węzłem wagonów przesuwiają się nad przepaściami jej skalistego łożyska, zostawiając na prawo pnącą się pod górę drogę wozową, na którą, lat temu kilka, zaledwie zdobyła się Turcja. W parę godzin dzisiaj, nie myśląc o trudnościach miejscowości, przebywa się kraj ten, odarty prawie ze wszystkich dzikich swoich ozdób, pozwalający oczom każdego ciekawca zaglądać w tajniki swojego ustroju, kiedy niegdyś każdą piędź drogi przezeń trzeba było zdobywać ciężkim trudem i odwagą. Kraj ten jest jednym z głównych strategicznych punktów Turcji; barykady tej bożej, z żadnej strony obejść nie można, trzeba sobie przejście przez nią wyłamać sztuką i bronić go twierdzami. Tak zrobił Trajan, kiedy Orient związał z Panonią, budując drogę kamienną, której ślady dziś jeszcze napotyka się pośród zarośli; tak dzisiaj robi kapitał, cudownie parą

skracający odległość, i

zbliżający do siebie ludzi obydwóch półkul ziemskich.

Przed kilkudziesięciu laty świat tu był inny, — świat groźny, dziki, dziwnie piękny, ale straszny i krwawy; znał go wzdłuż jego drogi ciężkiej podróźny, zmuszony ją odbyć; strażnik, konny, który po niej towarzyszył karawanom podróźnych, broniąc ich od rozbójników; znał ją kurjer pędzący z depeSZami austriackiej ambasady, lub Tatar wiozący pocztę stambulską. Co po obydwóch stronach drogi jaki tam świat? nikt o tem myśleć nie miał czasu, zajęty będąc śledzeniem każdego głązu, każdego drzewa, czy za niem nie ma rozbójniczej zasadzki, wsłuchując się w każdy szelest z ręką leżącą na osadzie pistoletu. Huk rozbijającego się o głązy potoku, dawał tylko odgadywać, że często wąską ścieżką się jedzie nad brzegiem jakiejś krzewami zakrytej przepaści, która wystawia się wyobraźni tem głębszą i czarniejszą, że jest zakryta; brzęk dzwonek pasących się kóz powiadał, że gdzieś tam dalej są ludzie i tworzył — bo myśl się nasuwała: jacy ludzie? lepiej żeby nikogo nie było. W owych czasach, które chcielibyśmy, aby wrócić się mogły dla Turcji, nie dlatego, że nie było dróg, że kraj był zasiany rozbójnikami; nie dlatego, że życie każdego giaura o tyle tylko miało

znaczenie, że bez giaurów nie byłoby kim ziemi orać, i nie
byłoby do kogo
z całym taborem na noc zajeżdzać, ale dlatego, żeby tej Turcji,
która
poczęła się ruszać, budować drogi wozowe i żelazne, i
wyjaknęła, że myśli uważać giaura za
człowieka, powrócić bogactwa, które jej w ręce dała była
Opatrzność,
a które tak szalenie roztrwonila i trwoni jeszcze; zresztą
choćby tylko dla tego, że kraj lasem
pokryty, szumiący wodami wydawał się nam. zawsze
piękniejszym, niż skwarem słońca
palone nagie skały, tu i owdzie noszące dowody, że ich tak
Bóg nie stworzył, — TV owych
czasach w połowie drogi między Wetrinem i Bramą. Trajana
stał „kuluk” czyli strażnica, —
śladu dziś po niej nie ma — tem lepiej jeżeli już nie potrzebna.
W wąwozie, na drodze wiodącej do kuluka, o kilka minut od
niego, potoki odmyły głaz
wapienny, który złamany pod własnym ciężarem, runął w
części na dół, zawałając przejście
swemi okruchami i pniami drzew, które zgruchotał, a w części
zawisł szeroką płytą, grożąc co
chwila upadkiem i całkowitem zatarasowaniem drogi. Tę
skałę, wiszącą, jak miecz
Damoklesa nad głowami przechodniów, podparto dwiema
grubemi belkami dębowymi. Pod
tą bramą tryumfalną nowego rodzaju przejeżdżając, trzeba
było schylać gło-

wę, i strzedz kolan, żeby ich nieskaleczyć, ocierając się o belki lub skałę. Miejsce to zwano, jak wiele innych podobnych, po turecku „sakał tutan”, co się da wy tłumaczyć po polsku przez wyraz „łapi-broda”, nazwa wyborna, bo tam zasadzony rozbójnik mógł pochwycić za brodę, i ściągnąć z konia bezkarnie.

Lipcowe słońce rzucało swoje palące promienie prawie pionowo na dach sakał tutana; liście platanów i olszyn w głębi wąwozu drzemały nieporuszone najmniejszym powiewem wietrzyka; nigdzie nie widać było żadej ptaszyny, z nikąd nie dolatywał dźwięk jej pieśni; słyszać tylko bieganie jaszczurek po suchych liściach rozsypanych pomiędzy kwitnącemi ostami lub od czasu do czasu wybuch janczarskiej muzyki polnych świerszczów. Nagle z góry pomiędzy dwie belki spuściły się bose, żyłaste nogi i poczęły się kołysać od niechcienia zawieszane nad drogą, zsypując na nią piasek i kamienie; po długiej chwili takiej niemej zabawki, odezwała się pieśń siedzącego na sakałtutanie chłopaka:

Na początku Bóg stworzył słońce i trzy
gwiazdy,

I tylko trzy gwiazdy... aman, aman!

Trzy gwiazdy, trzy gwiazdeczki na to niebo
całe, aman!

Jedna gwiazda wschodziła, gdy schodziła
druga;

Płakały gwiazdy, wszystkie trzy płakały,
Nudno im było, trzem na niebo całe! aman!
Ha, ha, ha! a czy wiecie wy wszyscy da s k a ł o w i e
(nauczyciele) i popi! zkad tyle gwiazd
dziś świeci? ha, ha, ha! a mądrzy... i nie wiedzą! Oni klaszczą
w ręce i wołają deli, deli Petko! (szalony) a deli wie czego oni
nie wiedzą. Obląkany zamyślił
się chwilę, zrzucił barani kołpak z głowy, rozdarł szerzej na
piersiach podartą koszulę i począł w górę rzucać kamyczki,
które mu pod rękę podpadły; „deli
Petko! Wołają... a może to i prawda... i jestem szalony, bo się
pytam ludzi o to, co prędzej
wiedzą kamienie i drzewa!"

Zerwał się na nogi, zacisnął kołpak na głowę, zsunął się po
podporze głazu na drogę i długą
trzcina wymachując po powietrzu, przeskoczył strumień,
dopał do olszyny, wpół ją objął,
zatrząsł nią i począł wołać: „stara jesteś... widziałaś... Bóg
stworzył słońce i trzy gwiazdy, i
tylko trzy gwiazdy... pamiętasz... trzy,
tylko trzy; odezwij się! bo cię powalę na ziemię, bo cię
zduszę! Mów, zkad dziś tyle gwiazd
na niebie? mów, bo cię wykorzenie!"

I biedny począł szamotać drzewem, aż na czoło powybiegały
mu żyły jak postronki i na twarz
oblaną płomieniem potoczyły się strumienie potu; odskoczył
nagle od drzewa, wyprężył się
zaciskając pięści i strasznym zawołał głosem:
„bądź przeklęta! na wieki przeklęta! i ty się śmiesz i
mówisz: deli, deli! Jak Pan przyjdzie

sądzić, ludziom daruje... ale drzewom nie daruje, że mają gorsze serca niż ludzie... bądź przeklęta!"

Strasznym był w tej chwili deli Petko, bo przeklinał całym bólem rozdartego serca, a nie miał snąć złego serca, bo po klątwie opuścił ręce, patrzył na trzęsące się jeszcze liście targanej przed chwilą olszyny, łzy mu się puściły z oczu, westchnął i rzekł z cicha: „niech ci Bóg przebaczy, jak ja ci przebaczam! „Biedny Deli Petko! nie prawda? Stał chwilę, otarł oczy rękawem grubej poszarpanej koszuli i utonął w gęstwie grabiny. Od czasu do czasu, coraz dalej, wyżej pomiędzy bukami słychać było jego pieśni:

Na początku Pan stworzył słońce i trzy
gwiazdy,
I tylko trzy gwiazdy... aman, aman!
Zkąd był ten nieszczęśliwy obłąkany, nikt
nie wiedział, chociaż znano go od Samakowa do

Filipopoli; zjawił się nagle przed kilku laty i przez ten czas w niczem się nie odmienił;
wyglądał jak wygląda: smukły, ogorzały, barczysty z żyłastą, suchą ręką i sprężystą lędźwią;
zawsze w takiej samej baraniej czapce i poszarpanej ale czystej koszuli; a że od czasu jak go zaznano i wiek jego się nie odmienił, wyglądał zawsze jakby miał szesnaście lub siedemnaście lat, dziwne o nim po wsiach krążyły pogłoski. Byli tacy co utrzymywali, że o

nim słyszeli od swoich rodziców od dawna pomarłych, którzy opowiadali o obłąkanym zawsze jednego wieku młodzieńcu i opis jego sposobu życia i obłąkania przypadał do osoby deli Petki.

W żadnej okolicy nad kilka dni się nie zatrzymywał; pojawiał się na chwilę w miastach, przebiegał bazary, zda się kogoś szukał; czasem zatrzymywał się przed kim, zapytał czy wie zkad teraz tyle gwiazd na niebie? zaśmiał się: ha, ha, ha! popatrzywszy na lica zdumionego zapytanego — wołał: „i ty nie wiesz!” i znikał śpiewając: „na początku Pan stworzył słońce i trzy gwiazdy”. Z nikim nie wdawał się w rozmowy; pytany zkad jest, wskazywał ręką na ziemię, mówiąc: „zkad i ty”; kto jego ojciec, kto jego matka? „I ojciec i matka ztąd nie daleko; matkę moją widzicie często i znacie, ojca moje-

go widzicie rzadziej, ale go nie znacie. Matka moja płynie, a mój ojciec stoi: matka moja Maryca a Jeleni Wrać mój ojciec*); jeśli to nie prawda, to mi powiedźcie, kto moi rodzice.”

Nie robił Petko nikomu nic złego, owszem lubił usłużyć, przynieść wody, drzewa z lasu; węglarzom pomagał w kosze pakować węgle, flisom spychać tratwy osiadłe na piaskach Marycy; nigdy nikogo o nic nie prosił; gdy mu co dano do zjedzenia, jadł na miejscu, ale nic nie brał ze sobą, chyba że miał i ś ć

d o o j c a; wtedy robił sobie krobkę z giętkich gałązek i zbierał chleb kawałkami. Po takim zaopatrzeniu się na drogę znikał zwykle na parę tygodni; odwiedziny te ojca zawsze odbywał w lecie, gdy śniegi w górach stopniały i tylko jeszcze szczyt Jeleni-Wracha i Mussały były niemi pokryte. "W kilka dni zwykle po odejściu Petki, widywano na najwyższym szczycie Rylskich gór wielki płomień i mawiano: „t o o j c i e c P e t k i g o ś c i s y n a.” Po południu, gdy nieco już ochłonęło, strażnica, która zdawała się być opuszczoną, poczę

*) Jeleni Wrach, jeleni wierzch, jedna z najwyższych igieł Rodopy, naprzeciwko Rylskiego monasteru. Jeden ze znakomitych geografów podróżników, doktor Barth bierze jeleni za eleni, i do dziwnych ztąd dochodzi wniosków greckich.

ła się ożywiać. Na dosyć obszernym balkonie pojawił się Arnauta *) przeciągając się i przecierając oczy, za nim drugi, niosący długi, szeroki, lekko zakrzywiony nóż z rękojeścią z kości wysadzanej koralami i turkusami, w pochwie jaszczurowej, pas szalowy i parę pysznych pistoletów, bogato oprawnych w srebro od połowy luf aż do wylotu. Obszerna, śnieżnej białości fustanella; jedwabna kamizelka od szyi zapinana na złote guziczki; kaftan czerwony cały prawie wyszywany złotem i kamasze tegoż koloru i podobnych naszywań, same już powiadały że

noszący je był komendantem kuluka. Był to Mustafa Skodrały, bulukbaszy strażnicy.

Poprawił na sobie fustanelle, owinał się pasem, którego koniec z uszanowaniem trzymał tajfa, zasunął za pas pistolety i nóż i siadł na kilim, który mu drugi Arnauta rozesłał na rogóźce pod ścianą; trzeci wcisnął pomiędzy nią a plecy siedzącego poduszkę; czwarty wniósł nargillę z kilkosażniowym narbiczem; piąty tacę z kawą; szósty ją podał naczelnikowi przykładając dru-

-----•

*) Albania nazywa się po turecku Arnautluk, a Albańczyk Arnaut.

Zakończenie „ły”, dorzucone do nazwiska miasta, wsi lub kraju tworzy przymiotnik oznaczający pochodzenie, np. Stambuły, stambulski, Beczły z Wiednia lub Wiedeńczyk itp.

gą wolną rękę z uszanowaniem do piersi, siódmy nareszcie odebrał wypitą czarę. Powoli po tem, jeden za drugim powysuwali się Arnauci zostawiając komendanta samego.

Mustafa Skodrały mógł mieć około lat pięćdziesięciu, wysokiego wzrostu, silnej i proporcjonalnej budowy; na twarzy prawdziwie męskiej malował się wyraz energii, który podnosiła jeszcze więcej szeroka blizna w poprzek czoła ukośnie idąca do oka i szerokie czarne brwi gęste i jak szczotka najeżone, prawie zrastające się z sobą; siwe wielkie oko

Mustafy, głęboko w czaszkę oprawione pomimo jasności i spokoju miało w sobie coś nie określonego, zdającego się mówić: strzeżcie się mnie.

Głęboki parów, której na dnie wije się Topolniczka, mały strumień mający źródło pod bramą Trajana a wpadający do Topolnicy oblewającej ryżowiska Bazarczyka, załamuje się naprzeciwko kuluka pod kątem prostym i rozszerza się tu nieco, tworząc małą łąkę ocienioną niegdyś kilku platanami i szeregiem starych gęstych olszyn, które się rozsiadły nad zakrętami strumienia. Na tej łące każdy przejeżdżający zatrzymywał się zwykle aby wyprostować nogi, oprowadzić konia, wypalić w chłodzie lulkę i wypić filiżankę kawy, która zawsze znalazła się

w kuluku; na darninie tego to prawdziwie malowniczego miejsca w czasie pogody modlili się strażnicy, lub oddawali się kiefowi.

Podczas, kiedy bulukbaszy Skodrały Mustafa wygodnie oparty o poduszki przesuwał pomiędzy palcami sto jeden ziaren różańca bursztynowego, delektował się niebieskim dymkiem nargili i bawił oko, puszczając je w ślad kół, które kreśliły na powietrzu sępy i orły, strażnicy porozsiadali się kupkami na murawie marząc, gwarząc, czyszcząc długie strzelby; — jeden brząkał na małej bandurce i nucił.

„Hassanie! odezwał się z balkonu bulukbaszy, daj pokój
twoim piosenkom
i skargom miłości, zaśpiewaj mi o Benderze.”

Nie odpowiedziawszy słowa Hassan podstroił bandurkę,
puścił palce po strunach i po dosyć
zręcznej przegrywce począł nucić:

Raz w Benderze, znowu w Budzie *)

*) Pieśń albańska, dołączamy tu jej tekst, aby dać
wyobrażenie o dźwięku języka
albańskiego:

Chére nde Bendér e chére nde Budin
Keszlu e szkum umrin tanę.
Ri moj sémer mos ban tafmin
Se kesztu e paskszem dane.
Dajm jam rane nde fimak
Man s'i kientrochet kurbitet.
Si kur kemi rane me giak
Ik e dallj preig Viljaetit.

Tak przepływa życie nasze;
Milcz ty serce! po co marzyć?
Takie nasze przeznaczenie!
Zawszem w smutku pogrążony; —
Ale jak tę znieść obczyznę!
Jakby wina krwi nad nami,
My jak zbiegi z własnej ziemi!
Ach tysiączne me boleści,
Czyjaż jako ma katusza?
Gdyby zmija krew mą piłą,
Krwia by moją się zatrula.

Hassan nie doszedł był jeszcze do połowy swojej pieśni, gdy pojawił się na balkonie Albańczyk i zatrzymał się o parę kroków od bulukbaszy zdjawszy z ramion długą strzelbę i oparłszy ją o ścianę.

„Co nowego ?”

— Giuzellik! wszystko pięknie mój effendi! Biskup wyjechał dziś rano z Koprysznicy a ludzie jego ztąd niedaleko idą z namiotami, mają je rozbić za górą.

„Czy widziałeś biskupa ?”

Chalet e mia memi,
Ei un kusz po mundochet?
Ede neperka te pi
Preig gjakut tem chelmochete.

- Nie, ale jego giaury mówili mi, że ma z pięćdziesięciu konnych ze sobą.

Bulukbasza palił nargilę nie mówiąc nic więcej.

„Spotkałem za Gelendżikiem Kara Alego...”

Bulukbasza obejrzał się wkoło, wychylił głowę za balkon i rzekł ciszej:

„Czy nie mówiłeś mu że się zgubi, jak tu dłużej będzie szukał roboty?

W jednym tygodniu rozbić niemiecką pocztę i obrać do grosza i do nitki z dwiestu kupców jadących na panair, to za wiele hałasu! ja go tu dłużej nie chcę! niech idzie

w Mały Bałkan, niech idzie za Jeltepe, ją go tu nie mogę mieć
dłużej. On dobrze wie, że basza
w Filipopoli nie żartuje; że jeżeli ja go nie dostanę, basza jak
się uweźmie to go będzie miał, a
wtedy i tobie i mnie stare przypomni grzechy. Czy ty wiesz
kto jest bulukbasza w Wakarelu,
Kurd Ali? To nasz wróg; zaklął się na swój garbaty nos, że
wymiecie wszystkich hajduków
i dowiedzie, że my wszyscy Arnaud darmo jemy chleb
padyszacha. Czy nie widziałeś go z
jaką dumą, w przeszłym tygodniu przejechał tędy z jednym
tylko Kurdem, jakby nam
urągał. I miał się z czego chełpić, bo u siodła jego wisiała
głowa Serba Jowańczy i brodatego
Osmana, którego my goniliśmy przez dzie-

sieć dni i wymknął się zabiwszy nam dwa najlepsze konie."

— Za które dobrze nam wprzód zapłacił, a powinien był
jeszcze dać sto madziarów za
karę że chybił Husseina, który nam zawadza, gdyby jak
czodziuk (dzieciak) nie dał się
podchwycić Kurdowi; ale i to prawda effendim, że Kurd
młody i nie rozumie jeszcze, że
głowa brodatego Osmana więcej warta była żywa, choć
dobrze zapłacona, niż wisząca u
siodła.

„I kto wie, czy to kiedy zrozumie! Niechże się więc Kara Ali
strzeże Kurda i wynosi się
zład co najprędzej."

— A biskup, co tyle po wsiach nazbierał złota?

„Słuchaj, Kara Ali nie ruszy tego złota... z którego ja miałbym połowę... a wiele on mieć może?"

— Z dwa tysiące madziarów.

„Dwa tysiące!... Nie! to za wiele hałasu..."

Idź, weź ogary, poszukaj sarny... i powiedz Alemu że nie chcę, rozumiesz... nie chcę, nie chcę!

a jeżeli się dzisiaj w nocy z mojego okręgu nie wyniesie, to się przekona, że

i ja głowy szalonych u mojego siodła wieszać umiem, — powiedz, mu to... a klnę się że darmo nie grożę."

Arnauta przewiesił strzelbę przez plecy i wyszedł pogardliwie wzruszywszy ramionami.

„Dwa tysiące Madziarów!... i mieć je pod wąsami... i czuć je... niech diabli porwą Kurda i jego ślepotę!" zaklął półgłosem bulukbasza i po chwili małej namysłu klasnął w ręce. Na znak ten wbiegło na balkon kilku Albańczyków razem...

„Pięciu konnych i mój siwy!"

Rozkaz spełniono w mgnieniu oka i bulukbasza w towarzystwie pięciu jeźdźnych pociągnął zwolna w dół rzeczki i zniknął z oczu w zakręcie parowu.

Biskup tymczasem majestatycznym pochodem jechał wzdłuż Topolnicy. Liczny orszak jego na wąskiej drodze, gdzie niegdzie dwóch jeźdźców obok siebie nie mogło się pomieścić, rozciągnął się na kilkaset kroków i jak wąż różnokolorowy

przewijał się pomiędzy skałami. Na czele ze dwudziestu Bułgarów i kilku zaptich pieszych (żandarmów) rozsypanych po obu stronach drogi, przeglądało gęstwiny, aby zabezpieczyć się przeciwko zasadzce lub niespodziewanemu napadowi.

Za tą awangardą pieszą jechali stępo, zwykłym podróżnym krokiem konni z rusznicami, osadą opartymi o kolana, wzniesionymi do góry, gotowemi do strzału; za nimi na mule bogato

przystrojonym w rozmaite srebrne brząkadła u nagłownicy i napierśnika, na karmazynowym siodle, rysią pokrytem skórą jechał biskup. Nad głową jego wielki biały parasol trzymało dwóch popów idących obok strzemion; za nimi dwóch saisów szło oparłszy ręce na biodrach muła; za biskupem dwa muły juczne, otoczone strażą pieszą a za niemi reszta konnego orszaku złożona z popów, służby i jeźdźców zbrojnych. Cała kolumna docierała do rzeczki, którą} trzeba było w bród przebyć, i zatrzymała się nad nią nieco, aby dać czas do złączenia się mogącym pozostać się w tyle; — nagle ruch zrobił się w karawanie i wszystkich oczy zwróciły się w górę, z kąd z gęstwy buków postrzeżono migotanie się stali i dosłyszano wyraźnie tentent podków. Biskup obejrzał się niespokojnie na swoje muły, popi spojrzeli po sobie i zbledli, kilku jezdnych odważniejszego serca wysunęło

się naprzód, a tymczasem piesi, jakby żywym murem
otoczyli biskupa, gotując się do obrony. Niepewność ta nie
trwała długo, jeden
z jezdnych którzy wyjechali byli naprzód przypadł galopem i
przyniósł dobrą nowinę, że to
nie są hajducy ale bulukbasza Skodrały Mustafa. Na imię to
wszyscy chrześciance zawczasu z
uszanowaniem posiadali z koni, gotowi powitać tego
strażnika

bezpieczeństwa publicznego, tem bardziej, że w owe czasy
gdy jechał effendi, ustępowano
mu z drogi, nie śmiano zostać na siodle, ale z pokorą
nachyliwszy głowy, pieszo czekali jego
przejazdu. Wynurzył się nareszcie i buluk basza z gę-
stwin z pięcioma swoimi ludźmi i spuścił się z pomiędzy skał
nad rzeczką, gdzie cała
karawana stała zatrzymana. Obojętnem skinieniem głowy -
odpowiadał pokłonom Greków i
Bułgarów; na prawowierne „salam aleikum” odrzekł zwykłe
„aleikum salam” i wprost udał
się do biskupa udając zdumionego, że go tu spotyka, na tej
nie-
bezpiecznej drodze.

„Effendim, rzekł do niego, będę się skarżył przed baszą, że
nie dałeś mi znać; wszak na
twoje rozkazy ja, i cały mój buluk powinien być gotowy, dla
czegoż narażasz effendim i
siebie i mnie służyć twójemu? Alboż effendim nie słyszałeś, że
Kara Ali ztąd o pół godziny
rozbił pocztę? a co zrobił

z tudżarami, których dwa razy więcej było niż twoich ludzi?
Aman, aman! Co za
nierozwaga... wiem że się effendim nie boisz... ale..."

Biskup, który rzeczywiście czuł niebezpieczeństwo, po tych
rozsądnych uwagach
bulukbaszy uczuł je w dwójnasób, spojrział w niebo i rzekł:
dzięki Bogu, że mi dał bez
przypadku

dotąd dojechać, bo to się tylko cudem jego wszechmocnym
stało, teraz ciebie effendim
spotkałem i spokojny jestem zupełnie o siebie. Bulukbasza
rzucił okiem po orszaku biskupa,
spiął konia ostrogą, wpadł w tłum galopem i uderzeniem
piersi swojego siwka obalił jednego ze zbrojnych
pieszych, Greka i w mgnieniu oka, zanim ten z ziemi zdołał
się podnieść, sam ze siodła
zeskoczywszy, tłoczył go kolanami i wołał: „trzymajcie!
wiążcie! o piękna twoja straż biskupie!"

Biskup przerażony i zdumiony ozwał się:

— Effendim mylisz się chyba, — ja znam tego człowieka.

— I ja go znam! a żmija!!

Konni Skodrały Mustafy skrepowali Greka i na postronku
przywiązali do siodła;
bulukbaszy siadając na konia rzekł z przyciskiem: „a jak
najmniej się szarpnie, to pal mu w
łeb ! Nie wiem gdzie chcieliście nocować effendim, ale
znalazłszy tego człowieka w twojej
karawanie nie mogę cię opuścić i muszę głowy twojej strzedz
jak własnego oka. Słońce ma
się ku zachodowi, nie odmów mej prośbie

i noc tę przebadź w kuluku naszym, a jutro Inszaallah *), z całym moim bulukiem (kompanią) zaprowadzę cię gdzie zechcesz."

*) Da Bóg.

Biskup, coraz więcej postrzegający, że jakieś niebezpieczeństwo rzeczywiście mu grozi, z widocznym zadowoleniem przyjął zaprosiny, posłał konnego z rozkazem, aby zebrano namioty z doliny, na której miały być rozbite i cały orszak puścił się w drogę, w ślad za bulukbaszą po urwistych i wąskich ścieżkach, najkrócej wiodących do stannicy. Spuszczając się na zieloną jej dolinkę, buluk basza puścił konia galopem, wypalił z pistoleta i poczęły się śpiewy i palba w całej karawanie ucieszonej, że szczęśliwie jeden dzień podróży zakończyła i odpocznie bez trwogi.

Skodrały Mustafa pierwszy był przed kulukiem i uszykowawszy w dwa szeregi swoich Arnautów, czekał z uszanowaniem biskupa, pomógł mu zesiąść z muła i zaprowadził go na balkon i w tejże samej chwili pojawiła się wielka kryształowa szklanka limonady i długi cybuch z bursztynem, którego by się nie powstydział i sam gubernator sandziaku.

Na dolinie tymczasem karawana rozlegała się na nocleg, jak kto mógł najwygodniej. W

najdalszym kącie wieśniacy, asystujący jak to się zwykle
dzieje naczelnika duchowieństwa
przez szacunek lub z rozkazu, oprowadzali konie i muły, inni
zabijali kołki i przywiązywali
konie do nich

pod cieniem drzew, kiedy jeźdźcy zdawszy trud ten na swoją
służbę lub na giaurów, których
to było najłatwiejszą pośród innych powinnością, siedzieli już
od dawna rozrzućeni wzdłuż
strumienia na dywanikach nierozstających się nigdy ze
siodłem podróznego, lub na rozesłanych jamurlukach (rodzaj
bundy od deszczu)
i pili z rozkoszą dym, wciągając go głęboko w płuca i
wyrzucając
go w górę z długim, głośnem ffff!

Nakładać lulkę i pić ją, jak się wyrażają mieszkańcy Turcji, i
robić to dobrze, nie jest rzeczą
tak łatwą jak się wydaje. Hiszpanie sami podobno tylko za
obrubem Turcji posiadają tę
sztukę, jeżeli damy wiarę słowom ich palaczów:
„non e fumadore qui fuma, ma qui saba fumar”; nie ten palacz
kto pali, lecz ten kto umie
palić. Szlachetna sztuka palenia tytoniu traci wiele z dnia na
dzień; wszystko się dziś robi
parą — wszędzie gorączka zyskania czasu i grosza; na
cybuch za długo czekać, świstek papieru prędzej się zwija.
Starzy
czybukczowie *) patrzą z po-

*) Służący, którego całym zatrudnieniem w domach paszów i bejów jest gospodarstwo tytoniowe, utrzymanie przyrządów do palenia lulek i nargil, ich nakładanie, podawanie panu i gościom, zowie się czybukczy. U wielu paszów jest utopiony wielki kapitał w cybuchach i nargilach, widziałem cybuchy wartości pięciu i dziesięciu tysięcy franków.

gardą i smutkiem na malutkie srebrne puszki, napełnione czterema rzędami cygaret, które podają wybierającym się z domu swym panom i mówią do siebie: „skończona! skończona! wszystko się rozwala... nie zadługo my starzy nie będziemy więcej mieli chleba, bo sami panowie zaczynają być sobie czubukczemi. Znikną, znikną czubukczowie, a z nimi i panowie bo panowie są na to, aby dawać chleb biednym. Skończona! skończona!"

Za czasów Skodrały Mustafy, działo się inaczej. Przy siodle każdego jeźdźca, przy olstrach wisiała długa irchowa pochwa, a w niej wiśniowy lub jaśminowy cybuch; za bogatszymi jechał czybukczy, którego jedynym obowiązkiem było gospodarstwo tytoniowe. Przez plecy miał zawieszoną długą drewnianą skrzyneczkę zamykaną na klucz, pokrytą z wierzchu woskowanym płótnem i sukniem; był to arsenał cybuchów — a drugi arsenał główek fajkowych, torba z lakierowanej skóry wisiała mu u boku. Tam para tuzinów lulek, arcydzieł sztuki, której ojczyznę na

Itumelią były Ruszczuk, Widyń a szczególnie Lule-Burgas,
z kąd wychodziły owe rzadko dziś widywane główki lekkie,
cienkie jak papier, bogato
nabijane srebrnymi lub złotymi gwoździczkami, kwiatkami lub
arabeskami. Każda główka
miała swoją oso-

bną przegródkę w torbie i zawczasu nałożona doskonałym
tytoniem z Jenidże, Samsonu lub z
Lataki, czekała aż na nią kolej wypadnie. W torbie tej miały
miejsce podstawki srebrne lub
pozlacane niezganionej nigdy czystości, które się
podkładają pod główki fajek. Cóż dopiero mówić o
przyborach nargilowych!

Kiedy różnej długości cybuchy dymiły ze wszech stron
doliny Kuluka, rozbijano
tymczasem przybyłe namioty biskupa, ruszano się i krzątano
się jak w mrowisku, nie wiele
robiąc, ale krzycząc wiele; rozpalano ogniska, kopano dołki na
węgle; zewsząd zaczęli się
zjawiać wieśniacy z słomą, sianem, jęczmieniem; pędzono
barany i koźlęta; znoszono garnki
miodu, mleka; tu i owdzie wznosiła się góra ogórków,
arbuzów i melonów.

Bulukbasza dawszy rozkaz dwom swoim najbieglejszym
mistrzom w sztuce pieczenia
baranka i posławszy po cygańską muzykę, która się włóczyła
po okolicy, wszedł na balkon i
począł przeproszać biskupa, który powstał na jego przyjęcie,
że go tak długo zostawił samego,
i prosił o wybaczenie gdyby w czym

z nieświadomości miał ubliżyć tak wielkiemu jak on gościowi.
Po licznych z obu stron
objawach grzeczności, w które tak bogaci są mieszkańcy
Wschodu, nasz Sko-

drały Mustafa zabierał się z uszanowaniem do usadowienia się
na uboczu, przekonany, że
biskup na to nie pozwoli, i nie omylił się, bo ten tak
naglęco był przeciwny temu, że nareszcie musiał przyjąć
zaszczytne miejsce obok niego.

„Wasza Ekscellencja mi daruje, rzekł bulukbasza, którego
już znamy nieco, że kazałem
związać jednego z ludzi jej orszaku i pozwoli mi że się
zapytam jak dawno ta zmija jest w
karawanie?

— Od dni czterech, jeżeli się nie mylę, przyłączył się do nas,
jako znający dobrze drogi w
całej okolicy.

— I zna je dobrze! lepiej jak wszyscy hajducy, którzy tu
przychodzą z całej Rumelii i
Anatolii i od niego się dowiadują gdzie są najpewniejsze
sakałtutany
i najpewniejsze kryjówki.

— Ałlah! Ałlah! zmieszany zawołał biskup i mimowolnie
dotknął się swych piersi.

Zrozumiał to poruszenie bulukbasza i odgadł, że tam muszą
być owe dwa tysiące
madziarów, klasnął w dłonie i rozkazał na znak ten wbiegłym
Arnautom przyprowadzić
więźnia. Zbladły skrepowany Grek, drżący cały stanął przy
schodach na balkonie.

— Mój baranku, „kuzum!" gdzie ty byłeś wczoraj w południe?

Wczoraj? cały dzień jak trzy dni całe poprzednie byłem z ludźmi Jego świętości.

— A co robiłeś na górze Św. Mikołaja nad Petriczem? Grek zadrgnął i przeczył.

„Baranku! to ja ci powiem z jakim tam świętym rozmawiałeś: z Kara Alim! z Kara Alim", powtórzył bulukbasza z przyciskiem. Na straszne to imię biskup się zerwał na nogi, schwycił się za głowę i jęknął zbladły: „z Kara Alim!"

Greki padł na kolana, kłął się na Zbawiciela i na Panaiotę (Pannę Najświętszą), że to wszystko nieprawda, że jakiś zły człowiek, którego Bóg skarże, rzucił na niego tę potwarz, aby go zgubił.

„Żaden zły człowiek baranku ciebie nie gubi, wolno, spokojnym głosem ciągnął bulukbasza, ale to sam Bóg daje ci naukę, abyś ludzi nie gubił;

— a powiedz mi czyja to fajeczka?... a to krzesiwko czyje?", zawołał bulukbasza groźnie, nagle pod oczy Greka wyciągając rękę z krótką faeczką i krzesiwkiem.

Greki jak spiorunowany stracił zupełnie przytomność i spuścił na piersi głowę, jakby już do niego nie należała, a biskup począł sobie przypominać, że oskarżony właśnie wczoraj po południu prosił, żeby mu kto pożyczył fajki, bo mu

jego w drodze zginęła; przypomniał sobie nawet, że któryś z jego popów dał mu swoją.

„Kto, effendim, zwracając się do biskupa zapytał bulukbasza, namówił cię do rozbicia namiotów tam za górą? bo ja wiem, że ten zbrodniarz przyrzekł Kara Alemu, że jeżeli dziś nie będziesz napadnięty i odarty ty effendim i twoi ludzie ze wszystkiego co macie, a może i z życia, to nie będziesz nocował w Wetlinie, jak to miałeś na myśli.”

Ostatnie te słowa dobiły do reszty strwożonego biskupa, jasno mu pokazując całą piekielną pułapkę, w którą go Grek chciał złowić, co mu się i udało, i zrozumiał, dlaczego tak chwalił i wodę i cień, śpiewy kosów i gruchotanie turkawek i całą piękność doliny za Elendżikiem, którą sam Pan Bóg dla kiefu ludzi i całego stworzenia zda się umyślnie zbudował, nie miał więc słów dosyć gorących na podziękowanie bulukbaszy za ocalenie swoje i przyrzekał mu wdzięczność dozgonną, powtarzając co chwila: „będzie o tem Muszir gubernator wiedział, będzie wiedział o tem muszir” (marszałek).

Skodrały Mustafa ze swojej strony cieszył się że Greka zgubił, bo liczył na to, że choćby ten jakim sposobem wybawił się z pod klucza baszowskiego więzienia, nie wymknie się nigdy

od zemsty biskupa i będzie musiał wynosić się daleko, o co mu głównie chodziło, nie dlatego że był szpiegiem i prawą ręką rozbójników, którzy mu dobrze za to odwdzięczali się, ale że nosił płaszcz na dwóch ramionach i zdradzał swoich przyjaciół, jak to zrobił z Serbem Jowańczą i z brodatym Osmanem, których sprzedał Kurdowi Alemu, naczelnikowi stannicy w Wakarelu i jak mógł zrobić z Kara Alim, coby i jego samego bulukbaszę z pewnością wprowadziło w niemały kłopot. Rozkazał więc zakuć Greka w kajdany, co biskup pochwalił kiwaniem głowy, i polecił strzedz go jak najbaczniej.

Zdarzenie to dało pole biskupowi i kilku znaczniejszym popom przypuszczonym do jego towarzystwa, do ubolewania nad zepsuciem świata, gdzie przychodzi do tego, że brat nie może zaufać bratu i bardziej mu trzeba się go wystrzegać niż otwartego wroga; Skodralemu Mustafie dało to powód do opowiadania o różnych rozbójnikach, których udało mu się dostać trupem lub żywcem, przyczem nie omieszkał zrecznie napomknąć o niebezpieczeństwie noszenia pieniędzy na swoim ciele, cytując i tego i owego kupca, którzy dla mizernych kilkudziesięciu altynów (złotych pieniędzy) pozbawieni zostali życia, gdy tymczasem inni sprytniejsi, po-

święceniem trochy kieszonkowego grosza wydostali się z rąk
rozbójników, ocalając wielkie
okrągłe summy mądrze ukryte w samarach, w ranach nawet
luźnych odsednionych mułów i
osłów.

Słuchał tego wszystkiego biskup, i czuł jak mu ciężył
okropnie napełniony pas madziarami i
ściskał go jak wąż lodowym, śmiertelnym splotem...

Słońce tymczasem poczęło się spuszczać za góry; ta-ti tum-
tum, ta-ti tum-tum cygańskich
bębenków i kastaniety kioczeków *), od dawna już rozlegały
się po parowie. Biskup zeszedł z
balkonu, przeszedł się parę razy po dolinie
W towarzystwie kilku wyższych duchownych i bulukbaszy, i
siadł przed wielkim swoim
namiotem na maleńkim dywaniku, pomiędzy jedwabnemi,
złotem wyszywanemi
poduszkami, a na lewo i na prawo na większych dywanach
zabrali miejsca duchowni i
Skodrały Mustafa. Muzyka i śpiewy ucichły na znak
uszanowania i poczęli się zewsząd
cisnąć wieśniacy, z których każdy przyklękawszy całował
rękę biskupa, aż po

*) Kioczek, młody chłopak ubrany za dziewczynę,
najczęściej Cygan, czasami Grek,
tańczący za pieniądz na ucztach i zgromadzeniach u
bogatszych Turków, lub w kawiarniach
miast tureckich.

dłuższej tej ceremonii, zapytał zdziwiony niby ten księżę kościoła, dlaczego przestano się bawić? na skinienie więc bulukbaszy, rozpoczęły się na nowo przerwane tańce, śpiewy i muzyka.

Słońce zaszło za góry; po odprawionych ablucjach i modlitwach Turcy powrócili na swoje siedzenia, mrok szybko począł zakrywać dolinę, którą oświeciło kilkadziesiąt ognisk, na których całe dębowe gorzały kłody. Blask płomienia polał się po skałach, drzewach, liściach, twarzach, kindżałach i pistoletach, tu rzucił purpurę, tam siał dyjamenty, a tu przewracał na ziemię długie, czarne cienie. Cóż to za obraz godny pędzla jakiego Salvatora Rozy; Wzdłuż rzeczki, której wody przestały płynąć, ustępując miejsca jakiejś ruchliwej cieczy ze srebra, złota, mieszającego się wzajemnie, raz wypierając się zwycięzko w górę, to znów w dół zapadając; tu siedzieli, tam leżeli w fustanellach śnieżnych z flokatami na ramionach lub w szarych jarmurkach ludzie, których twarz każda zdrowa jak gór powietrze nosiła na sobie jak każdy buk, każda skała, odrębne piętno dzikiej, bogatej natury. Tam wzdłuż wąskiego, długiego dołu pełnego żaru, ziejącego czerwony blask, kilku wąsatych Arnautów obraca na improwizowanych roznach z prostych młodych dębczaków, całe barany; za

każdym uderzeniem kostura w ognisko, wystrzela z niego
jakby z krateru wulkanu lawa
światła i kłęby iskier wznoszące się pod niebo, które widziane
z tej jasnej doliny, otoczonej
zawszą gałęziami dębów i buków, wygląda jak kawał
czarnego sukna zawieszzonego zda się
tuż nad głowami. Opodal ogniska, ale tam, gdzie
najżywszy blask z niego pada, kilku Bułgarów w sukmanach
brązowego koloru,
w okrągłych, czarnych baranich czapkach, słuchają opowiadań
siwobrodego starca.

Wszystkie twarze nań zwrócone a na te twarze zda się cała
dusza wyszła
z ciekawości i nie słucha, ale patrzy. Jeden ze słuchających
trzyma w ręku pęk kłosów, znak
skończonego żniwa, przez ramię mu koń wyciągnąwszy szyję
sięga po kłosy; jeden to tylko
widzi starzec opowiadający i uśmiecha się zadowolony; — to
roztargnienie słuchacza — to
wieniec jego wymowy.

W pośrodku doliny pięciu cyganów w wielkich szalowych
turbanach siedzą
w półkole, twarzami zwrócenie do biskupa, bijąc w bębunki,
przygrywają na flecikach tańcowi
dwóch kioceków ubranych w jedwabne czerwone szalwale i
w czarne aksamitne kaftaniki ze
srebrnymi guzikami, z pod fezów naszywanych złotymi
pieniążkami; kędziory czarnych
kruczych włosów spły-

wają na ramiona; rozkosznie przechylającej i wyginającej się
kibici pobrzękują kastaniety
wzniesione nad głowami. Trzy wysokie pale uwieńczone
żelaznemi koszami pełnemi
smolnego łuczywa oświecają z góry zieloną arenę i posyłają
w górę trzy kolumny czarnego dymu u spodu zakończonego
krwawą purpurą. Kilkudziesięciu
widzów rozsiadło się dwiema liniami od tańczących
kioczeków aż pod dywan biskupa,
zostawiając mu widok na środek doliny. On sam, starzec
poważny, z długim swym włosem na
tył zaczesanym, spadającym mu na plecy, z białą
brodą, w jedwabnej szerokiej szacie, na której zagięciach
igrały ruchliwe blaski promieni z
różnych stron padające, wyglądał jak król gór ludowej
legendy, albo król starożytny, bohater
rapsodu poety.

Za namiotami na odłogu, na małej wyżynie kręci się hora
Bułgarów; z tumanu pyłu, który
kłębi się z pod nóg tańczących, wynurzają się czarne baranie
kołpaki lub białe rękawy koszul
raz podnoszące się nad głowy z wesołym okrzy-
kiem hi! ha! ho! to znowu zapadające w chmurę kurzawy,
której każdy pyłek żyje, drga i
wiruje oświecony łunami ognisk z dołu i z góry.

W okół całej ctołiny poprzywiązywane do pni i gałęzi drzew
konie w rozmaitego kształtu
sio-

dłach, w rysich i niedźwiedzich czaprakach lub nakryte
skórami angorskich kóz,

z srebrnym naturalnym długim włosem lub malowanym na
niebiesko i czerwono, zamykają
grupami swojemi ten obraz bogaty w dziwnej piękności
szczegóły, które-
re rzucone poetycznym nieładem tworzą, wielką imponującą
całość. Cóż powiedzieć o
skałach, o drzewach, o niebie, które służą za ramy temu
obrazowi? Każdy buk, każdy dąb
splatający się setnemi konarami z sąsiadem uwieńczonym
koroną jemioli; każdy krzew u ich
podnóża wyrosły, każdy głąz, każdy kwiat ma swoją postać
odrę-
bną, swoje własne rysy, swoje własne ja, które powiada: j e s
t e m. Nie raz widziałem cię
dolino Bramy Trajana; widziałem cię gdy słońce igrało z
wodami twojego strumienia
przedzierając się do niego przez gęstwę liści twoich drzew;
widziałem pełny księżyc
pieszczący kołyszące się gałęzie i rzucający długie cienie skał
twoich na czarny płaszcz lasu;
widziałem cię przy blasku strzeleckiego ogniska i całą duszą
moją tonąłem, w twojej dzikiej
piękności, czułem ją nie śmiać nigdy pokusić się do jej
odmalowania, bo nie miałem na to
wyrazów; widziałem cię później odartą ze wszystkich twoich
skarbów piękności
i złamany boleścią siadłem na trupie ostatniego twojego
odwiecznego dębu, patrzyłem na
bezpło

dną ruinę i pełen oburzenia jeden tylko mogłem wymówić wyraz:

b a r b a r z y ń c y!

Zabierano się do wieczerzy: wielkie drewniane tace toczone z buków ubierały się już jedne w piramidy dymiące się gotowanego ryżu, w barnie i patledżany smażone z mięsem, inne w kury i zwierzynę, te w całe pieczone barany, owe w ciasta i miody i rozmaite mleczywa i sery; służba zbliżyła się właśnie z dzbanem wody, miednicą i białymi ręcznikami; biskup wyciągnął ręce pod strumień wody puszczonego ze dzbana, gdy pomiędzy skałami, w gęstwie drzew Elendzika rozległa się pieśń Petki: „Na początku Bóg stworzył słońce i trzy gwiazdy — i tylko trzy gwiazdy.” Głos jego pełny, doniosły, zapanował nad bębny cygańskie i flety i bułgarskie kobzy; z całej doliny wszystkich oczy zwróciły się w stronę z kąd głos ten jędrny, srebrny, mający w sobie coś dziwnego wytryskał. Po małej chwili spuścił się deli w wąwóz z wierzchołka skały, zostawiając za sobą stado oberwanych kamieni, które pędząc w jego ślady szalonymi podskokami nie mogły go doścignąć; przeszedł wolnym, mierzonym krokiem pomiędzy grupami siedzących Bułgarów i Arnautów wołających: „deli, deli Petko!”, stanął przed biskupem, popatrzył na niego i siadł przed nim na murawę.

— Jak się masz synu Jeleniego Wracha i Marycy? zapytał się uśmiechnięty biskup.

— Bóg ci zapłać, synu Świętej Góry! za uśmiech i dobre słowo — tak się do mnie uśmiecha moja matka Maryca. Bóg ci zapłać! odpowiedział poważnie szalony Petko i w wielkich jego oczach zabłysnęły dwie łzy, bo biedny nie był nawykły do podobnego powitania. Powiedz mi synu Świętej Góry zkad tyle gwiazd na niebie, kiedy Pan Bóg na początku tylko stworzył trzy?

Biskup tak zagadnięty pomyślił i odpowiedział:

— Synu Jeleniego Wracha, trzy gwiazdy stworzył Pan — a resztę ty.

— Nie ja, nie ja! i resztę stworzył Pan, ale tu na ziemi; ja je zbieram tylko i rzucam na niebo. Słyszycie! zawołał deli Petko wstając z murawy i zwracając się do siedzących w koło, czemu temu wielkiemu Panu Synowi Świętej Góry, nie krzykniecie w uszy: deli, deli! jak mnie krzyczycie?

Po tych słowach, któremi zdawał się mścić nad ludźmi za tyluletnie ich obelgi, rzucił się biedny chłopak do nóg biskupa i całował je ze łzami: „niech sobie wołają deli Petko! deli Petko a Petko będzie pracował jak pracował, będzie

zbierał i siał gwiazdy na niebie. Ja ci pokażę, tobie jednemu synowi Świętej Góry, jak syn Jeleniego Wracha i Marycy sieje gwiazdy."

— Dobrze mój synu! pokażesz kiedy zechcesz a teraz siadaj z nami i jedz.

Po wieczerzy gdy się na nowo odezwała, muzyka i śpiewy, deli Petko nałamał giętkich gałązek krzewów, zrobił koszyk i napakował w niego pozostałych kawałków chleba i owoców i siadał z koszem przy biskupie, gdy z nieba zsunęła się spadająca gwiazda i utonęła pomiędzy konarami dębów. Deli Petko podskoczył z miejsca swojego i pobiegł w tę stronę pnąc się na urwiska, spuszczać się z nich na dół, przesuwał się między szczelinami skał z dziwną pewnością i zręcznością i wkrótce tą samą drogą powróciwszy siadł na swoim miejscu przy koszyku, przysunął się do biskupa i rzekł mu do ucha: „widziałeś gwiazdę co spadła? ja znalazłem ją; pójdź synu Świętej Góry pokażę ci ją... odeślemy ją razem na niebo.”

Biskup wstał, on podprowadził go o kilka kroków pod drzewo, dokąd nie dochodziło światło, zdjął kołpak, wyjął zeń świętojańskiego robaczka i rzucił go w górę. Płomienisty owad rozwinął skrzydełka w powietrzu i zataczając dyjamentowe po niem pierścienie znikł pomiędzy liśćmi.

„Widziałeś synu Świętej Góry? Jak mnie syna Jeleniego Wracha i Marycy nie będzie na ziemi, to siej ty gwiazdy sam lub naucz kogo, bo znowu będą tylko trzy gwiazdy na niebie,

tylko trzy!

A jedna wschodzi gdy zachodzi druga;
Będą płakały, wszystkie trzy będą płakały;
Nudno im będzie, trzem na niebo całe!"

Biskup powrócił na miejsce i siedział zamyślony.
Uderzyła go piękna poetyczna myśl,
leżąca na dnie obłąkania nieszczęśliwego Petki; patrzył
na jego szlachtne rysy tak zgodne z pocziwą pracą
zasiewania nieba gwiazdami, aby trzy
pierwsze przez Boga stworzone na niem się nie nudziły, i
pytał się sam siebie: czy
rzeczywiście ta głowa, z której wyszło to poetyczne, wielkie
miłością szaleństwo zwichnięta i
stracona na zawsze jest dla ludzi? Kto wie, może znalazłby się
sposób temu dzikiemu synowi
natury pokazać inne niebo równie potrzebujące gwiazd; że są
czyny, które mają blask jak
robaczki świętojańskie
a wyżej jak one lecą i świecą w niebie jaśniej.
Myślał nad tem szlachetny starzec, i z ojcowską dobrocią
rzekł do młodzieńca:

„Dziękuję ci synu za to, czegoś mnie nauczył; wielka jest
twoja matka Maryca i ojciec twój
Jeleni Wrach, ale większy jest ich ojciec...

pójdź ze mną — ja także wiem coś może, czego ty nie wiesz,
jak ja nie wiedziałem co tyś
wiedział. Czy chcesz pójść ze mną?"

— „Pójdę synu Świętej Góry, bo dobry jesteś; ale wprzód
pójdę do mego ojca, do mojej

matki Marycy za Czadyr-tepę na Mussalate, z ką z ziemi
wybiega, po rzucam kamienie co
się co rok zwałają przed próg jej domu i rozdzierają ją wy
chodzącą; jak wrócę z tamąd, przyjdę do ciebie; teraz widzisz
mam chleb na drogę, jutro będę
spół za Kriwą rieką, nazbierałem kwiatów dla matki na
smanicy, nad Ibarem malin."

„Dobrze mój synu, idź i wracaj do mnie; a jak będziesz u
twojego ojca, to zobaczysz na
dole wielki monaster, zajdź do niego i po drodze nazbieraj
znowu kwiatów, zrób piękny
wieniec i zawieś go na obrazie świętej Boga Rodzicy, co
na niebie, i proś jej, żeby tam była dla ciebie matką i
opiekunką.

— „Boga Eodzicy, co się zowie Marja?"

„Tak mój synu, — czy ty o niej słyszałeś?"

— „Widziałem ją synu Świętej Góry; raz jeden widziałem,
byłem wtedy u ojca. Chodziła
tam po niebie, gdzie wielka gwiazda, pierwsza którą Pan Bóg
stworzył; chodziła tam w sukni
błękitnej jak moja matka Maryca, kiedy z domu wychodzi.
Oh! jakże była piękna, piękna synu Świę-

tej Góry; lice miała takie różowe, krasne jak duch co idzie
przed słońcem i mówi do ptaków:
zbudźcie się, wychylcie głowy z pod skrzydeł i śpiewajcie, bo
słońce, bo król się zbliża, i
ptaszęta się budzą i śpiewają. Piękna, piękna była!
a włosy złote płynęły za nią długie, długie — i zebrała je tak,
jak pszenicę ręka zbiera do

sierpu, i zdjęła dwanaście gwiazd, moich dwanaście gwiazd,
zrobiła z nich koronę i włożyła
ją na czoło, żeby jej wiatr nie rozwiewał włosów, i
uśmiechnęła się do mnie, a mój ojciec
Jeleni Wrach zadrżał z radości
i rzekł: szczęśliważ to Marja! O piękną, piękną była synu
Świętej Góry!"

Na to opowiadanie szalonego Petki, popi zdumieni zegnali
się i szeptali do siebie z
uszanowaniem: to ona, to ona! Biskup również uderzony
rozpiął szatę, zdjął z piersi
obrazek w złotych ramkach i pokazał Petce. Obrazek ten tru-
dne do wystawienia zrobił wrażenie na biednym chłopcu;
długo miał w niego utkwione oczy,
potem nagle zwróciwszy się do biskupa zawołał: „sukienka
takiego samego koloru i te...
jedna, dwie, trzy dziewięć, dwanaście gwiazd — moich
dwanaście gwiazd... ale piękniejsza, piękniejsza synu Świętej
góry! Ty ją musiałeś widzieć,
kiedy będąc u ojca i ja zobaczyłem ją chodzącą po niebie,
kiedy zbierała na niem gwiazdy i
dobrze

policzyłeś, wzięła ich dwanaście. Daj mi ten obrazek!"

— „Dam ci ten jak wrócisz z monasteru dawszy wieniec z
kwiatów Świętej Pannie, poznasz
ją po twoich gwiazdach, które ma nad czołem, a teraz masz
ten malutki srebrny medalik — i
to Ona! a tu masz pieniądz złoty, to jest madziar; wracając
przez Sarnaków kup sobie

trzewiki, piękne czerwone, nową czapkę, koszulę. Jak przyjdiesz do mnie ubrany jako ludzie, których tu widzisz, dam ci ten obrazek."

Biskup postanowił korzystać z wpływu jaki wywarł na warjata potakując jego halucynacjom, z uszanowania i z pewnego rodzaju sympatii, które w kilku chwilach umiał obudzić w duszy nieszczęśliwego; chciał go więcej, jak to widzimy, pociągnąć i przywiązać do siebie i mając go w swoim domu, pracować nad jego umysłem z wolna, cierpliwie, i miał nadzieję, słabą wprawdzie, że to uczucie gorącej miłości do Najświętszej Panny, której jeden uśmiech boski tak głęboko wrył się w pamięć obłąkanego, zreźnie rozwinięte, zdoła może z czasem zupełnie go wyleczyć. Petko oddał biskupowi z westchnieniem jego obrazek, wziął dukata i medalik, policzył głośno gwiazdy, przekonał się, że ich było dwanaście, pocałował z uszanowaniem medalik a po-

tem nogi biskupa, poszedł do buluk baszy i zapytał go z cicha:

— „Czy to jest madziar?"

— „To jest madziar, możesz za niego sobie kupić nową czapkę baranią, koszulę, trzewiki jak ci biskup kazał, i jeszcze nożyk i krzesiwko.

„Jak to? więc syn Świętej Góry nazywa się biskup? czy to więc jego za dwieście takich żółtych krążków sprzedał ten, co zostawił fajkę na świętym Mikołaju, Turczynowi z czarną

brodą i czerwonym pasem, ten z długim nosem i z puszką, co ma taką szeroką paszczę jak wilk kiedy wyje?"

— „Milcz nieszczęśliwy! nie mów tego nikomu, nawet twojemu ojcu ani twojej matce, bo ten z czarną brodą słyszy daleko, może teraz już słyszał... a ten co zostawił fajkę, słyszy jeszcze dalej... mówiłem ci... że cię zabiją."

„To jest madziar! za takich dwieście... biedny syn Świętej Góry!"

Słyszał to wszystko biskup; zrozumiał że ocalenie swoje winien jedynie obłąkanemu, który bez celu przebiega góry i lasy i w duszy dziękował Opatrzności, która czuwa wszędzie i zawsze i używa za narzędzie dla ocalenia lub zgubienia gdy zechce nawet szaleństwa i kieruje jego krokami.

Deli Petko tymczasem wziął kosz z chlebem i długą swoją laską i siadł oparłszy plecy o stary dąb stojący opodal nad strumieniem, przyglądał się medalikowi i madziarowi i myślał o tej pięknej na niebie, w lazurowej szacie, z długim włosiem, w wieńcu z dwunastu gwiazd, z jego gwiazd dwunastu i powtarzał sobie: „jakże tyś piękna, jakżeś ty piękna!" Myślał i o synu Świętej Góry, przechodził w pamięci wszystkie jego słowa aż do rozkazu kupienia czapki i trzewików, myślał o kwiatkach i malinach, które nazbiera dla matki Marycy; o kamieniach co się musiały pozwalać na próg jej domu; o wielkim ogniu, który rozpali aby

grzać ojca swojego Jeleni Wracha. Podczas tych marzeń
wypuścił
z ręki pieniądz, który się potoczył i wpadł do strumienia.
Skoczył za nim obłąkany i w jednej
chwili był w rzeczce, której woda w tym miejscu ledwie mu
kostki przechodziła, rzucił do
koła okiem i ujrzał cud: Dwie rybki pomiędzy kamkami
szczypały pieniążek, popychały go
przed sobą, krążąc raźnie w około niego; blask rozpalonych
ognisk na dolinie znalazł w
ciemnej gęstwinie gałęzi
i liści drzew małe okienko i przez nie snopem promieni prosto
padał na pieniądz
złoty, zbierał w siebie drżący metaliczny jego połysk i oblewał
nim rybki, tak że pieniądz i

rybki zdawały się z żywego być złota. Biedny Petko wziął je
za rzeczywiste złote rybki, a że
nigdy takich nie widział i wiedział, że takich ani w Marycy,
ani
w Ibarze, Iskrze, ani w żadnym nie ma jeziorze na Mussali, ani
w okolicy Jeleni Wracha,
osądził, że to pieniążek ma własność przemieniać je na złote,
dziwił się i cieszył że
przypadkiem zrobił tak wielkie odkrycie. Chciał koniecznie
schwytać choćby jedną tak
przemienioną rybkę, ale po długim uganianiu się postrzegł,
że trzeba mieć siatkę — a skąd
jej dostać?
— „Petko! co ty robisz?” — zapytał się służący biskupa,
który przechodząc usłyszał

pluskotanie się w wodzie i zatrzymał się nad strumieniem.
Obłąkany dobył z wody pieniążek,
wyszedł na brzeg, wziął za rękę służącego i rzekł:
„Nie powiadaj nikomu, każdy taki madziar robi dwie rybki,
takie same jak on; widzisz tę
rybkę
co tam płynie? powiedz mi wiele z niej możnaby
zrobić madziarów ?”
— „Z takiej, Petko, rybki zrobiłbyś trzysta.”
— „Trzysta? trzysta! to więcej niż wart biskup — bo
biskupa wiesz za dwieście
sprzedają...”
Służący zaśmiał się i odszedł, a obłąkany siadł na dawne
swoje miejsce
i zasnął marząc o

Pannie z dwunastu gwiazdami nad czołem i o wielkich
jeziorach, w których igrają złote rybki.

Jeszcze nie ozwała się w lesie pierwsza piosenka leśnego
skowronka, a już nasz bulukbaszy
przechadzał się nad strumieniem doliny, przyglądał się
budzącej się i zabierającej do drogi
karawanie; zawracał się to ku strażnicy,
to ku namiotowi biskupa, w którym jeszcze nie znać było
żadnego ruchu; obszedł go kilka
razy i usiadł nareszcie opodal niego na głazie, nieco powyżej
drewnianego krążka, pod który
podstawia się drążek, podpierający namiot. Tu kazał sobie
podać kawę i cybuch i paląc nie
spuszczał z uwagi małego rozporu, który upatrzył pod
krążkiem w namiocie, a który pozwalał

widzieć z góry oku, co się dzieje w domku z płótna. Chodziło
o rzecz bardzo ważną dla
Skodrałego Mustafy. Przewidywał on, że biskup nie zapomni
o niebezpieczeństwie noszenia
na ciele trzосу napełnionego złotem i z pewnością będzie się
starał skorzystać
z nauki, jaką mu podsunął w opowiadaniu swoim
wczorajszym; chodziło o to,
aby wiedzieć, gdzie ukryje biskup pieniądze zebrane w swoim
objeździe. Niedługo widać
bulukbaszy potrzebował czekać, bo wkrótce opuścił swoje
Observatorium
i zabrał zwykłe miejsce na balkonie na kilimku.

Tymczasem karawana przygotowywała się do drogi, zaczęto
zbierać namioty i juczyc konie i
muły biskupa. Skodrały Mustafa zeszedł z balkonu i zawołał
arnautę tego samego, którego
wczoraj wysyłał z ogarami na polowanie i zaszedłszy
pomiędzy krzaki, rzekł mu:

— „Widzisz tego małego, chudego osiołka?”
— „Tego co ma czarne z koziego włosa sakwy?”
— „Tego. — Nie płacz, że wymknęły się dla mego
tchórzostwa Kara Alemu madziary
giaura i wiedz, że lepsze dwa tysiące całe niżeli
ich połowa. Przyjrzyj się dobrze temu osłu i jukom i ruszaj
pod to wielkie urwisko, które jest
na drodze za trzema mogiłami i czekaj nad wodą na dnie, a ja
ci tam pošlę na dół osła z
jukami, z ziemią, z kamieniami, może z parą

koni i giaurów co się zwałą; szybko wypaproszysz brzuch
jukom, puścisz wszystkie chustki,
pończochy i pantofle na cztery wiatry i z trzosem w zieloną
chustkę zawiązanym, z trzosem z
żółtawej jeleniej skórki — w którym jak mówisz, jest...

— Dwa tysiące madziarów effendim!

— Dasz nurka w buki na górze, a wieczorem się
porachujemy. Ruszaj!"

Arnauta zachwycony genialnym pomysłem bulukbaszy
poprawił fustanelli, ściągnął pas i
puścił się lekko, tym cichym a szybkim krokiem, którym
Albańczycy celują między góralami,
na miejsca sobie wskazane.

Służący biskupa, któremu Deli Petko odkrył ważne
postrzeżenie, że każdy madziar
przerabia dwie rybki na złote, prowadził konia swojemu panu,
spotkał się z obłąkanym i
zagadnął go zdziwiony radością, jaśniejącą na jego twarzy.

— „Petko! tyś jeszcze nie poszedł do Ojca! idźmy razem.
Biskup także pozwolił mi
odwiedzić mojego w Razłogu, mamy przez Osmanicę jedną
drogę. Daj mi twój koszyk,
przywiążę go do siodła.”

— „Tobie potrzeba drogi, a mnie droga wszędzie, a i wiele
ma Petko roboty. Widzisz —
rzekł — podrzucając i chwytając podrzucony w górę złoty
pieniądz — widzisz, jeden taki w
Kriwą Riekę... dwa w Rysicę... sto w Ibar... tysiąc mojej
matce Marycy a resztę jeziorom,
co są w ogrodzie mojego ojca... co to będzie rybek!

a każda rybka sto, dwieście... tysiąc madziarów! Ha! ha! ha!
Petko deli! a na początku Bóg
stworzył słońce i trzy gwiazdy..." Nucąc pieśń swą silnym
głosem
i wywijając nad głową długą laską zniknął oblakany w
gęstwinie lasu.

Wolno, z niezwykłą okazałością posuwała się karawana
biskupa po wąskiej drodze w
kierunku Ihtimanu. Bulukbaszy na czele swych Arnautów
poprzedzał kościelnego dygnitarza;
cyganie, którzy tańczyli i grali wczoraj, posadzeni na
konie wieśniaków, bębniąc i śpiewając uweselali drogę;
strzelano z pistoletów i wszędzie,
gdzie spotkano jaką haliznę lub łączkę, jeźdźcy wysuwali się
naprzód i wpadali na siebie z
krzykiem bojowym z dobytymi pałaszami, krążyli w okół
siebie galopem, i ciskali na siebie
laski niby dżiryty. Muły i konie juczne biskupa tuż za nim szły
pod strażą trzech pieszych
Albańczyków, on sam otoczony popami z poblizszych
cerkwi, ledwie krojem odzieży
różniącymi się od chłopów,
jechał spokojnie pod swoim wielkim parasolem.

Po półgodzinnej jeździe zbliżyła się karawana do miejsca,
gdzie droga zaledwie kilka stóp
szeroka, idąca za skrętami ściany wąwozu, zdawała się jakby
zawieszona w powietrzu nad
strumieniem, niewidzialnym z powodu gęstwiny drzew, ale
którego szum wód,

przedzierających się pomiędzy kamienie, groźnie dochodził do ucha. Prostopadle drogę od stromej góry przecinał mały wąwóz, który w czasie deszczów zamieniał się w łożę potoku, toczącego głązy, wyrywającego drzewa i rozdzierającego drogę. W miejscu tem

niebezpiecznem wzmocniono brzegi podmyte drogi kilkoma ściętymi drzewami i rzucono mostek z grubych okraglaków dębowych; o poręczach na najwęższych ścieżkach, przypartych do przepaści, w Turcji nigdy nikt nie pomyślił i tu ich też nie było. Wiele koni już przeszło było mostek, zasługujący słusznie na nazwisko diablego, dopiero koń bulukbaszy postawiwszy nogę na jednym okraglaku począł parskać, strzydz uszami i rzucił się w tył.

Napróżno Skodrały Mustafa parł go ostrogami, koń dawał dęba i skręcał się na miejscu na zadnich nogach; przyskoczyli przerażeni Arnaud i ujęli za wędzidło drżącego, parskającego rumaka. Bulukbaszy zsiadł ze siodła, obejrzał mostek, przeszedł po nim tu i napowrót, próbując go nogą i śledząc każdy okraglak, siadł na konia i pomimo odradzań wszystkich i prośby biskupa, chciał go koniecznie zmusić do przejścia; po wielu trudach złamał nareszcie upór zwierzęcia, ale żaden po nim jeździec nie śmiał lub nie umiał podobnej dokazać sztuki,

musiano więc zsiadłszy z koni przeprowadzać je ciągnąc za
uzdy. Biskup przeszedł mostek
pieszo, za nim część orszaku; dwa muły juczne wachając z
trwogą okrągłaki przebyły
podejrzanie przejście, na, reszcie chudy osiołek z bisagami z
czarnego koziego włosa
odważnie począł kroczyć po moście

jakby szydził z tchórzostwa koni i jeźdźców, ale nie doszedł
jeszcze połowy drogi, gdy nagle
z trzaskiem mostek się zapadł i biedny osiołek runął w
przepaść z okrągłakami i kamieniami
kurzawa wzbijała się do góry z usuwającej się ziemi
i jednocześnie rozległ się na dnie głuchy huk spadłych gładów,
drzewa i krzyk: a a h;
ałłah! przerażonej karawany. Po tem zerwaniu się mostka, gdy
pierwsza chwila przerażenia
przeszła, dziękowano Bogu, że się całe nieszczęście skończyło
na stracie chudego, starego
osła, i nawet zaśmiano się głośno gdy na drugiej stronie
wąwozu, w pół góry usłyszano śpiew
szalonego Petki: „na początku Bóg stworzył słońce”... Nie tak
jednak sądził biskup, który
pomimo podeszłego swojego wieku, zeskoczył z siodła,
wywrócił popa, trzymającego biały,
znany nam parasol i prawie zawieszony nad urwiskiem, z
bolesną ciekawością zatapiał oczy
na dno wąwozu, klnąc w duszy konary drzew i gąszcze ich
liści, które nic nie pozwalały
widzieć; nie tak sądził i bulukbasza, który wiedział dobrze o
co chodzi biskupowi, ale nie

mógł sobie wytłumaczyć przez jaki nieszczęśliwy zbieg okoliczności spadł osieł, kiedy do trzech mogił i do miejsca gdzie był skazany kark skręcić, jeszcze daleko. Miałżeby jego wysłany Arnauta na swoją rękę wykonać tę

mistrzowską sztukę? to zdawało mu się niepodobnym do prawdy i odgadywał z żalem, że owe dwa tysiące madziarów, na zdobycie których tak pewne porobił kroki, może mu się wymknęły na zawsze, przybiegł więc do biskupa zakłopotanego i również jak on zawiesiwszy się nad przepaścią śledził jej niewidzialne głębie, i z udanym zdziwieniem odciągając go wołał: „grunt nie pewny!... - panie odsuń się! co tam osieł!” — „Pary moje! moje pary!!” jęknął biskup ściskając konwulsyjnie rękę bulukbaszy.

„Jak to? pieniądze? a to co innego! Rozkaż effendim twoim popom, aby mieli baczenie żeby się nikt z twoich ludzi nie ruszał z miejsca, my tymczasem zejdziemy w dół zobaczyć, co się stało z osłem.”

Trzeba było daleko obchodzić, zanim przedzierając się pomiędzy skałami i drzewami przez krzaki jeżyn i sploty dżigry, znaleziono przejście na dno wąwozu. Osieł z połamanymi nogami leżał martwy w strumieniu; srebrnym, grubym wałem przelewała się woda przez tę barykadę, która stanęła w poprzecz jej dzikiego prądu; z kupy kamieni i piasku sterczało kilka końców okrągłaków; na konarach drzew bujały

się szmaty czarnego płótna z koziego włosa
z którego były bisagi; na małej łączce wiatr

uganiał się za pończochami i rozrzuconą bielizną; na zakręcie
strumienia wirowały dwie
beleczki z mostka, nie mogąc wyrwać się z odmętu; przy
kupie gruzów z wody wyglądała mosiężna szyja nargili, ale
zielonej chusteczki
w której był trzos biskupa szukano na próżno. Bulukbasza z
biskupem osądzili że albo musi
być przywalony ziemią albo tuż w wodzie, jeśli go nie uniósł
prąd
nieco dalej i nie uwięził w jakiej głębszej kotlinie pomiędzy
kamieniami,
i uradzili przeszukać wprzód całe dno potoku, idąc w dół aż
do pierwszej znaczniejszej
głębiny, gdzie woda na dnie spokojna, a tymczasem posłać po
szpadle i ludzi do wsi, aby
paręset łokci kubicznych zwalonej ziemi odrzucić na
przypadek, gdyby się trzos w wodzie nie
znalazł. Zasmucony biskup tą znaczną nieprzewidzianą stratą,
usiadł na kamieniu
i spoglądając to na strumień i to na fatalną ruinę mostu, zdał
się we wszystkim na
balukbaszę, który zwoławszy służbę i popów i kazawszy im
brodzić i szukać trzosa z
pieniądzmi, wysłał Arnautów do wsi, zapalił cybuch i usiadł
przy bi-
skupie na kamieniu, śledząc każde poruszenie oczu, nóg i rąk
brodzących.

„A ty czemu się nie rozbierzesz? Czemu stoisz, jak effendi jaki?" spytał balukbasza
młodego Bułgara, który zbliżył się do biskupa i za-

trzymał się przed nim, „cóż to, czy się boisz zimnej wody albo kamieni, żeby ci nóg nie pokaleczyły."

— „Jedź, jedź Nikola!" przerwał biskup spostrzegłszy stojącego przed sobą swojego sługę;
„pozwoliłem ci odwiedzić ojca i nie myślę cię zatrzymywać. Na ludziach do szukania nie zbywa; jedź z Bogiem, bo masz daleką drogę." Nikola uradowany ucałował rękę swego pana i wyszedłszy z wąwozu, siadł na konia i opuścił karawanę.

Podczas kiedy bulukbasza z biskupem przejrzawszy z największą uwagą strumień od miejsca, gdzie się osieł zapadł z mostkiem aż do małej kotliny, której toczony prądem trzos nie mógł przejść i musiał koniecznie zostać się na jej dnie, zabrali się do najważniejszej roboty, do rozkopania oberwanej ziemi, zdejmując ją cienkimi warstwami i prawie przesiewając między palcami, Bułgar Nikola, pomimo upału, który się mocno uczuwać dawał, pędził galopem po drodze do Sestrymy, wsi górniczej, gdzie dotąd nad rzeką Kriwą jest para pieców i młotów, przekuwających gęsi surowcu żelaza. Pospiech ten miał swój powód: Nikola był na

prawdziwej drodze trzosa, którego z taką pilnością i
przezornością
szukał pan jego i bulukbasza. Dowiedziawszy się, że
nieszczęśliwy osiełek miał na sobie pie-

niądze, przypomniał sobie, że wkrótce po zerwaniu się
mostka, słyszał na przeciwnej stronie
wąwozu śpiew Petki; szybko zestawiał w umyśle swoim
wczorajsze wieczorne odkrycie
obłąkanego, że każdy madziar zamienia dwie ryby na złote,
i jego zapytanie ile można zrobić madziarów z jednej rybki, z
dzisiejszemi jego słowami które
z takim zapałem powtarzał podrzucając do, góry pieniądz od
biskupa: „jeden taki w Kriwą
Riekę, dwa w Rusicę — sto w Ibar, tysiąc mojej matce
Marycy... co to będzie rybek! a każda
sto, dwieście, tysiąc madziarów!"
i wpadł na myśl, że cała ta katastrofa jest dziełem Petki, że
obłąkany już wówczas miał ją w
głowie swojej ułożoną i pewny był jej wykonania; że daleko
byłoby lepiej, żeby madziary
biskupa zamiast iść na dno Ibaru, Marycy i jezior Jeleniego
Wracha, poszły do kieszeni jego
— do kieszeni Nikoli.

Nasz Bułgar tem bardziej utwierdził się w swoim domyśle,
gdy widział porozrzucaną na
cztery wiatry bieliznę i inne przedmioty, które się znajdowały
były w sakwach i próżne
pierwsze poszukiwania w strumieniu, pędził więc galopem
nad Kriwą Riekę w nadziei

doścignienia obłąkanego i zabrania mu trzosa zanim dojdzie do Ibaru, dla którego sto madziarów przeznaczono-

ne. Kriwą Riekę, Rusicę, Ariandere błogosławił Bułgar, jako nie przynoszące mu wielkiej szkody, owszem zabierające wiele czasu obłąkanemu, który idąc prostą sobie wiadomą drogą, musiałby ujść wszelkiej pogoni i spokojnie wysypać cały skarb na łono swej matki Marycy.

Nikoła bynajmniej się nie mylił. Deli, który miał słuch niesłychanie czuły, przypadkiem znajdował się w pobliżu miejsca, gdzie bulukbasza dawał rozporządzenia swojemu powiernikowi; zrozumiał dobrze o co chodziło i wpadł na myśl, wielką podług swego wyobrażenia, uprzedzić bulukbaszę, złotemi rybami zapłodnić wody okolicy i uszczęśliwić człowieczeństwo. Znał on dobrze miejsce, które wybrał bulukbasza do wypełnienia swojego zamiaru, ale wiedział, że daleko lepsze do tego znajduje się nie dochodząc do wskazanych Albańczykowi trzech mogił, pobiegł więc szybko i zasadził się pod mostkiem. Główna belka, na której cała jego budowa spoczywała, opierała się z jednej strony o ogromne korzenie dębu, z drugiej o kamień, który zdawał się być częścią skały, wynurzającej się z pod ziemi, był jednak tylko głazem luźnym, dość silnie uwięzionym w glinie. Deli Petko

często pod mostkiem tym przesiadywał, kołysząc zwieszono
swe nogi nad przepaścią, tak jak
go widzieliśmy

bawiącego się na płycie Sakałtutana, i nieraz pod kamień,
który woda podmywać zaczynała,
podkładał podpory i podmocowywał belkę i bardzo być może,
że mostek dotychczasowy był
swoją zawdzięczał tej inżynierskiej przezorności obłąkanego,
bez której zostawiony na
ogłędność mieszkańców i pieczę gubernatorów tureckich,
dawnoby musiał być zerwanym
przez wody nawałnic. Strażnik ten dróg i mostów, znający
gruntownie słabą stronę budowy,
którą sam podpierał, mógł, gdy zechce,
w jednej chwili strącić ją na dno przepaści. Przyniósł na
ramionach potężny
draż, podsadził go pod głaz i ukrywając się pod korzeniami
dębu, z drugiej strony służącemu
głównej belce za podstawę, czekał pojawienia się osła na
mostku. Widzieliśmy jaki sprawiło
skutek jedno naciśnięcie draża. Puścił go obłąkany
natychmiast, chwycił się oburącz korzeni dębu, zawisł chwilę
w powietrzu, czekając aż
mostek, osieł, ziemia i kamienie runą i sam potem zsunął się
na dół z ostatnimi szczątkami
tej lawiny, które mu posłużyły za sanie nowego rodzaju.
W mgnieniu oka na dnie przepaści deli Petko wykonał wiernie
rozkaz, który dał bulukbasza
swemu powiernikowi i wypaproszywszy torbę, ze sakwą
biskupa był na drugiej stronie na

górze, gdzie sobie zaśpiewał: „Naprzód Bóg stworzył

słońce" nim chmura wzniesionego pyłu upadła z powietrza.

Nikola na spienionym koniu parę mil przegalopowawszy bez względu na niebezpieczeństwo skręcenia karku, wpadł w Sestrymie przed han, którego handzi był jego jakimś dalekim krewnym; skoczył ze siodła i zawołał:

— „Jeła bre! hej, czy jest tam kto?"

— „A! to ty Nikola!" zawołał wybiegający handzi, Jakże się masz? Kako si, zdrowo, żywo?

A zkadże to? czy biskup tu do nas dzisiaj jedzie? Czy daleko jeszcze? Twój koń cały w pianie... pewno niedaleko! A przekłety pop! Który od wczoraj pojechał, i nie dał znać... gdzie biskup?"

— „Zdrowo, żywo Dymitry! a ty si kako? odpowiedział Nikola, siadając przed progiem na małej ławeczce i ocierając pot z czoła; daj wina Dymitry! Koń mnie uniósł — małom karku nie skręcił... patrzaj, pędził aż wszystkie podkowy pogubił. Biskup na drodze do Ihtymanu, — ja jadę do Razłoga. Kiedy będzie biskup u was nie wiem; nieszczęście nas spotkało, most się zarwał przed trzema mogiłami.

— „Najświętsza Panno! i biskup się zabił! To strasznie wysoko, musiał się zabić."

— „Osiołek tylko z pieniędzmi dzięki Bogu.

Biskup z bulukbaszą szukają pieniędzy w rzeczce."

— „Jakże się to stało Nikola?

— Jak się stało? rrum! i most się zarwał.

Zdrowie twoje Dymitry! Zawołaj nałbanta (kowala), trzeba okuć konia; ugotuj mi z dziesiątek jaj na drogę i daj mi twoją baryłkę podróżną z winem.

— Zdrowie twoje Nikola!

— Zdrowie twoje Dymitry! Słuchaj zostawię u ciebie konia, jak by oszalał gdzie znowu ze mną nad Kriwą Rieką, to byłoby ze mną jak z osiołkiem biskupa; daj mi twego osiołka.

— Dam ci osiołka. Zdrowie twoje Nikola! ale musisz poczekać do wieczora, bo syn mój Weliczko pojechał na nim do Bani.

— Zdrowie twoje Dymitry! nie mogę czekać do wieczora; tego warjata zostawię u ciebie, pójdę pieszo na Jakurutską Owę (wyżynę), zanocuję u czobanów i dam sobie radę.

— Weź tam Nikola mego muła, który jest u Tanasa, jedź na nim do Razłoga, i powróć do Sestrymy.

Wypili jeszcze przyjaciele po parę czaszek wina; Nikola zdjął swoje czerwone trzewiki, obuł się w chodaki, przewiesił przez ramię skórzaną podróżną torbę Dymitrego, dobrze zaopatrzoną w

chleb, jaja, wino i kawałek słoniny i pożegnawszy swojego krewnego puścił się drogą, w górę Kriwej Rieki.

Pomimo pośpiechu Bułgar stracił z dobrą godzinę czasu, nie żałował tego jednak, bo pozbył się konia, który nietylko na nic mu się nie zdał do polowania, które miał przed sobą, ale owszem zupełnie je czynił niepodobnym, zaopatrzył się w żywność, bo przewidywał, że deli Petko w dalekie go może zaprowadzić strony i że brak kawałka mizernego chleba w bezludnej okolicy łatwo mógłby stać się powodem nieudania się całej wyprawy. Szedł więc cichym a szybkim krokiem drogą po nad Kriwą Rieką w myśli zatrzymania się na Osmanicy, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa obłąkany musi się zjawić przed zachodem słońca, i pilnie słuchał czy gdzie nie usłyszy znanej pieśni o gwiazdach. Kriwa Rieka ma źródło swoje w środku wielkiego półkola, które się zatacza od Osmanicy do Sumugu-bałkana, mającego często w lipcu jeszcze na wierzchołku tu i ówdzie płachty śniegu, wije się pomiędzy urwiskami, zbiera wiele małych strumieni i z niemi z tarasu na taras coraz znaczniejszą masą wód spada, obracając kilka tartaków i młynków zakrytych w gęstwie wysokiego świerkowego lasu. W wielu miejscach na tysiąc

kroków swojego biegu, ma do trzystu stóp spadku, który na kilka kaskad rozdzielony z szaleń spycha grzmiącą masę, rzekłbyś nie wody ale śniegu rozbałwanionego, błyszczącego milionami nad sobą dymiących atomów. Jeden

z najpiękniejszych tych wodospadów znajduje się o małą
godzinę drogi od Sestrymy.
Głęboki, skalisty wąwóz służący za łożo Kriwej Kiece, okryty
był
niegdyś w tem miejscu nieprzebytym lasem klonów, lip i
olbrzymich drzew orzechowych z
rodzaju leszczyny, których tu i ówdzie widać jeszcze
imponujące ślady. Gardło wąwozu idąc
pod górę wody rozszerza się i jakby w obcegi chwyta
naprzeciw siebie wznoszącą się pionowo na parę set stóp
ścianę olbrzymiego bastionu skał, z
którego szczelin wyrasta samotny krzew niebieskiego
rozkwitniętego bzu, hiszpańskiego
szczodrzeńca o długich złotych kiściach kwiatu, lub kołyszą
się głowy pąsowe dzikich
maków. Bastion ten wąskim łącznikiem wiąże się z tarasem,
po którym płynie Kriwa Rieka i
z tego tylko punktu jest wniście na jego wierzch zupełnie
płaski mogący parę set osób
wygodnie pomieścić. Na tym dachu bastionu każdy
mieszkaniec Sestrymy trzy czy cztery
razy do roku, w uroczyste święta je z gromadą święconego
baranka i z popami śpiewa i zapija
czerwone wino lub wykrzykuje

wesoło tańcząc narodowe hora. Kriwa Rieka jakby z okna
bastionu z głuchym hukiem gromu
skacze szeroką szafirową płachtą; słońce nie omieszka nigdy
wspaniałą pomalować tęczą tych
kryształów, nim spadną w ogromną wannę z granitu, która je
pochwyciwszy, wyrzuca przez

swe przepelnione brzegi falami śniegu, dyjamentów
i tęczowego pyłu. Nad samą wanną widać za zasłoną wód,
oświeconą promieniami słońca
obszerną jaskinię, po ścianach której swobodnie
porozwieszały się paprocie zwane włosami
bogini piękności; oko mimowolnie wdziera się w każdy
zakątek tego samotnego, wspaniałego ustronia i szuka nimf,
jego mieszkank.

Nikola, któremu tędy szła na Osmanicę droga, zdziwił się
mocno, spostrzegłszy kilkunastu
pastuszków i dwóch czy trzech dorosłych czobanów, którzy
psom straż trzód zostawiwszy,
brodzili w Kriwej Riece i zdawali się z niezwykłym zajęciem
szukać czegoś między
kamieniami; zdjęty ciekawością zapytał się starego Bułgara,
który stał na drodze i przyglądał się również
szukającym, coby to było?

— "Ot, myślą, że Kriwa Rieka to miska
wody; co Kriwa Rieka weźmie tu pod Kałą*),"

*) Kalé- twierdza, zamek; mnóstwo jest skał z ruinami
zamków, lub bez nich noszących
nazwisko kale.

tego już nigdy nie odda. Deli Petko był tu przed pół godziną,
zawołał dwóch czy trzech
czobaników na Kałę, pokazał im nudziara i rzucił go z góry
pomiędzy kamienie, gdzie teraz
go szukają, mówiąc: „idźcie łowić złote ryby — są tam
dwie złote ryby." Chłopaki dalej brodzić! a za nimi trzeci,
dziesiąty, dowiedziawszy się o co

chodzi, i oto widzisz jest już trzech starych
głupców, a nim zajdzie słońce, będzie ich tu tylu brodziło, co
czapel na brzegach Marycy pod
Bazarczykiem."

— „A co się z Delim stało” —zapytał Nikola, którego cała
ta historia obchodziła
niesłuchanie.

— „ Alboż nie wiesz że Deli, to jak wiatr na stepie — idzie
przed siebie
i idzie; zaśmiał się i poszedł. Gdym zamykał młynek,
słyszałem jak
sobie nad nim między świerkami wyśpiewywał." Nikola miał
wielką ochotę zapytać się, jak
dawno i w jaką obłąkany szedł stronę, ale nie chciał dać
poznać, że go w czym obchodzi,
pożegnał więc młynarza i straciwszy go z oczu, pędem się
puścił drożyną przez świerkowy
las, pewny, że Petko nie daleko ztąd być musi.
Bułgar, który w dzieciennych latach z czobanami pasał kozy i
owce na Jakurutskiej wyżynie, a
później w okolicy Sestrymy i Bielewa,

znał bardzo dobrze wszystkie wąwozy, wiedział, gdzie się
poczynają, jak się kręcą i gdzie się
przecinają
z drugimi, wpadł na małą ścieżkę wijącą się pod górę i z
świerkowego lasu wydo-
był się w sosnowy porastający długie ramię góry, idące od
stóp Osmanicy ku młynkowi, który
zostawił za sobą. Na górze tu i owdzie małe równinki były
wyrudowane i obsiane żytem i

owsem; piękny las sosnowy nie miał podszycia krzewów, można w nim było iść wygodnie i dalej widzieć przed sobą. Na jednym pólku spostrzegł Nikola małą gwiazdkę, świeżo uplecioną z zielonej jeszcze słomy owsianej a o parę kroków drugą i domyślał się, że tylko Petko mógł bawić się tą robotą, która wybornie prowadzić może śladami obłąkanego.

Gwiazdeczki co kilkadziesiąt kroków leżały wzdłuż grzbietu góry; cicho, lekkimi podskokami biegł w ich kierunku Nikola i po kilku minutach usłyszał niedaleko przed sobą pieśń obłąkanego. Mam go przecie! — pomyślał sobie — nie dojdiesz synu Marycy do Ibaru, a może nawet i Osmanicy, i skradając się jak strzelec polujący na pasącego się jelenia, zakrywając się drzewami, podsunął się do obszerniejszej halizny. Pośród niej, o jakie sto kroków od brzegów lasu, na dachu małej opuszczonej węglarskiej bu-

dy siedział deli Petko jak na koniu, śpiewając i machając rękami. Na brzegu lasu Bułgar rzucił się na ziemię i począł cicho pełznąć pomiędzy trawami ku budzie, ale zaledwie parę stóp posunął się naprzód, obłąkany przerwał pieśń i zwrócił głowę w stronę, gdzie szum trawy posłyszał:

— Ho, ho! to wielki wąż być musi, kiedy tak głośno się ślizga, — ale Petko węzów się nie boi, ale Petko niedźwiedzi się nie boi, wielkich, wielkich niedźwiedzi. Tu obłąkany dobył z za

koszuli nóż i błysnął nim parę razy nad głową.

Nikola zatrzymał oddech w piersiach, wrył się prawie w ziemię, spostrzegając, że pomimo całej swojej przezorności o najważniejszej zapomniał rzeczy... o strzelbie Dymitrego. Jakież to pewny byłby strzał w plecy, pomyślił sobie, mając przed sobą na małe sto kroków szerokie barki obłąkanego; mam wprawdzie pistolet, ale z niego nie zabije się konia na dwadzieścia kroków, a jak zejść bliżej tego przeklętego warjata, który ma taki słuch ostry; ach strzelby Dymitrego, Dymitrego strzelby! Różne przesuwały się po głowie Bułgara pomysły — zerwać się nagle i wpaść na Petkę? Niepodobna... bo albo go się spłoszy i wtedy niema nadziei doścignąć go wię-

cej, albo trzeba się z nim mierzyć — ale deli mocniejszy, deli zabija nożykiem niedźwiedzie.

Niema innej rady tylko iść za nim i podchwycić go jakim sposobem. Widzimy, że nasz Bułgar był mądry — nie lubił narażać się na niebezpieczeństwo.

— O jakże ty piękna, piękna byłaś w twojej niebieskiej szacie — z długimi włosami, w wieńcu z dwunastu gwiazd moich! Widzę, widzę twój słodki uśmiech

o Marjo! wołał z zapalem Petko, z oczami wbitemi w niebo.

Bułgar przypominając sobie zapewne, jak strzelcy podchodzą tokującego głuszca, począł

pełzać na nowo. Petko oderwał oko od nieba i zwrócił głowę mówiąc: „wielki to musi być wąż” i zeszedł z dachu bucty poglądając w stronę skąd szelest dwa razy doszedł.

Była to chwila niepokojącej niepewności dla Dymitrego. Bardzo łatwo obłąkanemu mogło przyjść do głowy szukać węża, szybko się jednak w położeniu swoim zorientował i, tem lepiej, pomyślił: dobrze jestem zakryty tą kępą wrzosu i dwoma sosenkami, deli podejdzie sam pod mój pistolet. Dobry to był rachunek, ale Nikola się omylił, deli bowiem spokojnie poszedł dalej, tylko nie na południe wzdłuż sosnowego lasu, ale na zachód, spuszczać się pomiędzy gąszcze świerkowe. Sko-

ro tylko Bułgar zapewnił się, że Petko go widzieć nie może, począł go ścigać, czując całe niebezpieczeństwo stracenia go niepowrotnie. Pogoń to była rzeczywiście niesłychanie trudna; na przykrym spadzie góry posiana bożą ręką młodzież świerkowa stała w ściśniętej, nieprzerwanej nigdzie kolumnie. Petko jak wąż, nie wiele co więcej odeń szeleszcząc z dziwną zręcznością przewijał się i przesuwiał przez czarne gęstwiny; Nikola za nim przedzierał się z trudem co chwila upadając, w wielu miejscach na czworakach lub na brzuchu zmuszony czołgać się, ciąć nożem przed sobą gałęzie i wydzierać sękom odzież, drąca się w kawały, lub bronić oczy i

twarz do krwi podrapanemi rękami. Na szczęście swoje,
Nikola mógł się co chwila zapewnić,
że obłąkany nie bardzo się odsądza, miejsce bowiem, którądy
szedł, zdradzało się
kołyszącymi się wierzchołkami drzew, co Bułgar będąc wyżej
widział doskonale; ruch ten
wierzchołków zawsze jednostajny,
nieprzerywający się dowodził zarazem, że obłąkany nie
zwraca wiele uwagi na łamiące się za
sobą gałęzie i dodawał otuchy ścigającemu. Bułgar widocznie
coraz przybliżał się do Petki
tak, że się musiał nawet zatrzymać, żeby nie być
postrzeżonym. Młoda gęstwina świerkowa
przerwana była długą, wąską łąką; po drugiej jej stronie wzno-

siły się dosyć wysokie strome skały, kocim nawet pazurom
nieдоступne, któremi kończyło się
nagle obszerne wzgórze zavalone olbrzymiem rumowiskiem
bez ładu rozrzuconych głazów.
Nikola zorientował się szybko gdzie się znajduje, zrozu-
miał że deli idzie ku źródłom Rusicy za Kriwą Rieką i
przypomniął sobie, że
w tym kierunku jedyna jest tylko ścieżka w szczelinie muru
tego naturalnego prowadząca
przez kamieniste wzgórza; gdyby więc udało mu się uprzedzić
Petkę
i zacząć się na krętej drożynie, za jakim kamieniem, pogońby
się skończyła pchnięciem
noża, lub wystrzałem pistoletu do piersi przyłożonego.

Deli wyszedł na łąkę; miał oprócz swego koszyka z chlebem
drugi mały z kory

świerkowej, który sobie widać robił po drodze i tym sposobem
pozwoił się doścignąć
swojemu niewidzialnemu łowcowi, i pod skałami dosyć
daleko szczeliny
i dróżki począł zbierać maliny i składać do nowego koszyka,
prześcielając je liściem. Bułgar
tymczasem wypatrzył łożę małego strumienia w poprzek
przerzynającego łąkę, dopełznął do
niego po wilgotnej trawie bez żadnego szelestu i zdołał nie
zwróciwszy uwagi obłąkanego,
zająć pożądany swój punkt strategiczny i zasiadł zakryty
kamieniami w miejscu, z kąd całą
łąkę miał przed sobą, z kąd niewidzialny mógł

śledzić każdy ruch swojej zwierzyny, która w żaden sposób
nie mogła wyminąć tej strasznej
zasadki. Pewien i bliski dokonania swej zbrodni Bułgar
zadrżał jednak... stanął mu na myśli
deli z zapalem wołający: „piękną ty byłaś w koronie
z moich gwiazd dwunastu!" i ciężar nie słychany począł mu
tłoczyć piersi. Była to, ta
przestroga święta, której odepchnięcie sędzia najwyższy
zapisuje
w wiekuistej swej pamięci; chwila jeszcze jedna tego nie
określonego ciężaru
w sercu — a Bułgar gotów był odezwać się: „pójdź tu do mnie
synu Jeleniego Wracha i
Marycy!" Nagle powiał wiatr silniej i szeroko odchylił na
piersiach koszulę obłąkanego —
bystre oko Nikoli spotkało pod nią trzos biskupa

i zapłonęło ogniem. Złoto zwyciężyło przestrożę bożą —
Bułgar obejrzał spokojnie pistolet,
odkrył panewkę, uderzył w zamek, proch potrząsając i
paznogciem spróbował skałki czy
ostra!

Po tej jakkolwiek krótkiej moralnej walce, pojmujemy, że
dla Nikoli, który zgłuszył
odzywające się sumienie, każda malina zebrana przez
nieszczęśliwego Petkę, oddalająca na
jedną sekundę jego ostatnią godzinę, była prawdziwym cier-
niem, a każda chwila oczekiwania wiekiem. Jakby na
udręczenie zbrodniarza deli przerywał
często swą pracę, siadał między krzewami malin przy

glądając się pilnie pszczole zbierającej miody lub poprawiając
gniazda ptaszyny, które nie
ogłędnie między gałązki wsuwając rękę nadwerezyl, i przy
każdym takim siadaniu znikał z
oczu Nikoli, którego to nie niepokoiło bynajmniej, ale niecier-
pliwiło nadzwyczajnie. Raz jednak deli schyliwszy się
zupełnie do ziemi jakby do
podniesienia, czegoś między malinami, zdawał się Nikoli być
zanadto długo niewidzialnym;
miałżeby zasnąć? pomyślał sobie — to bardzo być może,
słońce ma się ku zachodowi a od
świtu żelazny ten potępieniec pędzi przez góry, wody i lasy.
Co robić? czy nie lepiej
korzystać z jego snu i ubić spiąoego, — czy czekać, Bóg wie
jak długo... „Diabłu twą matkę i
twojego ojca! przeklęty warjacie!” zaklął nagle Nikola,
którego pieśń delego daleko już za

kamienistym wzgórzem jak grom niespodziany wstrząsnęła i
podrzuciła wysoko na nogi"

Gdyby nie ta nieszczęśliwa pieśń, którą się zdradzał, Petko
nie myśląc
o tem, możeby się wymknął Bułgarowi, który nieumiałby
nawet może nigdy sobie
wy tłumaczyć jak się to stało i przypisywał zniknięcie swej
zwierzyny cudowi
lub sztuce szatana. W gęstwie malin, pod głazem znalazł deli
małe okienko, przed
najważniejszym oknem zakryte wielką zasłoną z poplątanych
jeżyn i dżigry; otwór ten
prowadzi do obszernego ło-

zyska podziemnego strumienia, który idzie wzdłuż całego
kamienistego wzgórza, oświecony
jest choć słabo licznymi szczelinami i ma również ukryte
wyjście
o kilka set kroków dalej w ciemnym jarze niebotycznego
świerkowego lasu. Tą drogą jemu
samemu tylko wiadomą poszedł deli i z ciemnic podziemnych
wyszędłszy powitał dzień boży
swoją pieśnią: „na początku Bóg stworzył słońce."

W kierunku głosu pędził Nikola wązkami, krętymi
uliczkami pomiędzy głazami jak domy
porozrzucanymi i zuchwale upiętrzonymi i wydobywszy się z
tego chaosu pogruchotanych
skał, znalazł się na miękkich dywanach mchu w świerkowym
lesie — deli zaśpiewał znowu i
bardzo blisko, ale Bułgar zwiesił głowę z rozpaczą, bo

głos ten dochodził z miejsc, gdzie nawet ogar za zwierzem
nigdy nie goni. Ogromne świerki
stoją tam prawie dotykając się grubemi pniami; gałęzie górne
każdego drzewa leżą na
gałęziach sąsiedniego, jedno na drugich jak dachówki*—
dolne suche bez igieł, coraz cieńsze
i gęstsze w miarę jak się ku dołowi zbliżają, proste, ułamane z
ostremi końcami wyglądają jak
kolce olbrzymich jeżów, które zetknęły się z sobą. Leśnicy i
botanicy wiedzą, że o ile drzewo
świerkowe jest miękkie, o tyle jego gałęzie są twarde

i niepodległe zepsuciu, zwykle od dołu do pewnej wysokości
drzewa młode gałęzie w miarę
wzrostu drzewa umierają i z czasem opadają same, — tu-
wszystkie gałęzie w lesie nad Kriwą
Rieką zostały i sterczą niektóre od stu lat może,
nie zgniwszy, wiecznie twarde jak żelazo. Takim to
miejscem wybrał sobie drogę deli Petko.

— Niepodobieństwo, pomyślał sobie Nikola, żebym mógł
się wydobyć przed wieczorem z
tego straszego lasu; noc mnie musi zaskoczyć! Dobrze mi
tak! żem nie wziął strzelby! Ha!
Kto ma słabą głowę, musi mieć nogi zdrowe. Trzeba
obejść las choć to daleko, — może jeszcze zdążę przeciąć
drogę temu szalonemu za Kriwą
Rieką. Nie pójdę za tobą baranku! znasz ty dobrze płaniny
(góry) ale i ja znam! przestanę ja
cię gonić niedługo, przyjdiesz ty sam do mnie, przyjdiesz...
och! gdybym miał był strzelbę!

Bułgar zwrócił się w prawo rzadkim lasem, spuścił się w wąwóz Kriwej Rieki, przebył ją z trudnością, wdzierając się na strome ściany jej łożyska i na drugim brzegu przebiegłszy pędem małą łączkę, zawrócił się na lewo pomiędzy kamieniami i po kilku minutach biegu zatrzymał się naprzeciwko straszego lasu, w miejscu które mu się zdawało być z pewnością na kierunku drogi deli Petki. Bułgar zadyszany padł pod ka-

mieniem, zdjął baranią swą czapkę i ocierając nią pot z czoła strumieniami się lejący, wyteżył słuch na wszystkie strony i wodził okiem po czarno zielonym obszarze lasu, który się wydawał jak wielka gładka szyba skał mchem porośnięta, na mocny spad góry rzucona. Najsilniejszy wiatr nie był w stanie zachwiać ściśnionymi wierzchołkami drzew i najżywsze promienie południowego słońca nie wdzierały się nigdy przez to czarne pokrycie w głąb tajemniczego lasu. Na szybie tej, coś nakształt białego ptaka, pojawiało się na chwilę i ginęło znowu w gęstwie zielonej. Bułgar uderzony tem zjawiskiem począł przyglądać się pilniej, nie domyślając się coby to być mogło, nagle kryjąc się szybko za kamie-

nie zawołał: „na świętego Mikołaja! deli musiał z łąki chyba wymknąć się pod ziemię, kiedy

teraz chodzi po powietrzu!" Nikola się nie mylił i biały ów
ptak zbliżył się, kształty
nieokreślone uwybraźniły się i Petko pokazał się o parę set
kroków na wierzchołku niebotycznej jodły, kołysał się na niej,
chwilę zawisnął na jednej
nodze i drugą przed siebie wysunawszy rzucił się w powietrze:
wierzchołek drugiego drzewa
zachwiał się i barania czapka pojawiła się na głowie
sąsiedniego świerku, a wkrótce za nią i
cała postać Petki zapanowała nad ciemnym płaszczem góry.

Takiemi to drogi znać chadzał zawsze syn Jeleni Wracha i
Marycy!

Bułgar ściagał zadziwionem okiem każdy szalony skok
obląkanego i twarz jego malowała
zwątpienie, co chwila bowiem spostrzegał z jak nierównymi
siłami przedsięwziął swoje
polowanie, i poczynał o dobrym skutku powątpiewać; zdzi-
wienie jego jednak i zatrwożenie przeszło wszystko gdy ujrzał
po ostatnim skoku Petkę
wychodzącego z lasu. Deli nie był sam! za nim biegła pyszna,
wielka łania i kilkutygodniowe
jelenię, białe jeszcze cętki na sukience swojej noszące.
Obląkany zatrzymał się snąć aby powitać starą przyjaciółkę,
która przypadłszy pędem,
poczęła lizać mu twarz i ręce — odskakiwała opodal i
przybiegała znowu
w podskokach do twarzy, do ręki i położyła się wreszcie u nóg
Petki radośnie poglądając mu
w oczy.

Deli usiadł, objął szyję łani oburącz, klepał ją po grzbiecie i wołał do siebie jelenię, które zdziwione i strwożone twarzą człowieka trzymało się podejrzliwie opodal.

Nikola zrozumiał jaki mu straszny przybył przeciwnik w tem zwierzęciu; deli miał strażnika, który jeśli z nim się zostanie, niepodobna będzie go podchwycić nawet we śnie.

— Przeklęty deli! ma teraz dwie pary uszów

więcej; zkad ta łania? po co ta łania w tej chwili? Bułgar się zamyślił... Kto wie, może to nie bydlę... może kto ma w opiece obłąkanego? — i znowu przyszły mu na myśl słowa Petki:

„piękna, piękna ty byłaś Maryjo!" Zkad ta łania? głupi jesteś Nikola! zkad? wychował ją z maleńka deli, i poznała go; cóż w tem nadzwyczajnego?

Petko dobył z koszyka kilka małych kawałków chleba, które łania brała mu z ręki i jadła.

— Dopóki tylko w koszyku zostanie okruszyna, przeklęte bydlę pójdzie wszędzie za warjatem — pomruknął Nikola.

Wiatr powiał nieco silniej od strony Bułgara, łania widać go zawietrzyła, bo stanęła na nogi, i rozszerzywszy nozdrza poczęła nastawiać uszy.

— Cóż tam? czy wilk? nie bój się siostró, nie bój! — ty wiesz że umiem bronić, — połów się, połów.

— Zwietrzyło mnie przeklęte bydlę... Skąd ta łania? poco ta łania przy delim? pomyślił po drugi raz Nikola i drugi raz mimowolnie powtórzył słowa obłąkanego: „piękna byłaś!”

— Połóż się sestro! patrz, pokażę ci jakie będą rybki złote w wodach, które ty pijesz. —
Deli odpaszał trzos biskupa i zabrzączał madziarami.

Bułgar zadrzał, wyteżył słuch i wbił oko w stronę zkad go dźwięk złota dolatywał, tymczasem zdało mu się wyraźnie, że słyszał jak ktoś zaśmiał się nad nim i szepnął mu w ucho: „Nikola tchórz, — tchórz Nikola!”

— Kto mówi, kto myśli że ja tchórz! Żeby się niebo i ziemia miały zapaść, Petko! te złote twoje ryby będą moje!

Łania zerwała się znowu na nogi.

— Bodaj byś przepadło djabelskie stworzenie.

— Połóż się sestro, zdrzemnę się. W nocy pójdziemy na Ibar, rzekł deli, kładąc głowę jak na poduszkę na grzbiet łani, która się znów położyła u nóg jego.

W czasie spoczynku Petki Bułgar kilka razy podniósł głowę i chciał jeśli nie przybliżyć się, to przynajmniej zmienić położenie, obierając inne pod wiatr, ale za najlżejszem każdym poruszeniem się jego, żywe wezglowie warjata zwracało ku niemu długą szyję i wielkie swoje oczy; rad nie rad Nikola nie chcący się zdradzić, zostawał tą parą oczu jakby przykuty do kamienia, który go zasłaniał.

Sen obłąkanego nie był długi; wstał i szedł w poprzecz
równiny, która od góry Sumugu
zstępuje piętrami do Kriwej Rieki i u źródła jej o-

piera się o półkole wzgórz, za którymi leży obszerna wyżyna
Jakurutska; Bułgar zrozumiał że
deli idzie do Rusicy i wskrzesiwszy w pamięci swojej cały
bieg tej lennicy Kriwej Rieki z
radością, obliczył, że w miejscu ku któremu idzie Petko, na
półtora tysiąca kroków w dół i w
górze strumienia nie ma żadnego przejścia, nawet dla nóg Petki
i że na całej przestrzeni tej,
górze strasznie Bóg rozdarł
i tą czarną rozpadliną pędzą, z łoskotem spienione wody
Rusicy. Skoro więc nigdzie w tym
kierunku, pomyślał sobie Bułgar, nie schodzą, się do siebie tak
blisko krawędzie rozpadliny,
żeby je mogła koza dzika przesadzić, z pewnością, deli do
Rusicy doszedłszy rzuci jej dwa
obiecane madziary i zwróci się znowu aby
szczytami Sumugu, ścieżkami sobie znanymi pójść do Ibaru.
Gdyby nie przekłeta łania, jedno
z dwojga: albo bym go zaszedł na krawędzi, w chwili gdy
będzie rybami zajęty, a jest jedno
miejsce gdzie woda bieży spokojnie i pozwala widzieć nawet i
drobne kamyki na dnie leżące i
pewno tam deli idzie, albo zasadziwszy się na niego na drodze
do Ibaru, ubiłbym go na pewne
pod samymi śniegami Sumugu, przy wielkiej sośnie którą ztąd
widać. Bułgar ważył w swojej

głowie wszystko, coby być mogło za albo przeciw obudwom
pomysłom i nie mogąc się
zdecydować

na żaden, szedł nie zbyt daleko za obłąkanym, około którego
łania igrała wybrykując wysoko
i spostrzegł z radością, że tą rażą bydlę które przeklinał
pomaga mu wiele tętniąc racicami,
robiąc rumot zwruszonemi kamieniami, a przez to samo
zajmując uwagę delego.

Petko stanął na wysokiej płaszczyźnie — zatrzymał się
nagle jakby uderzony jej pięknnością.
Zamknięta zewsząd nagiemi skałami, wyglądała jak wielki
dywan rozpostarty i bożą utkany
ręką w najcudniejsze rysunki. Na jasnej zieleni traw we
wszystkich kierunkach wiły się
liczne, drobne strumienie, zlewając się tu
i owdzie w małe jeziora. Ostatnie promienie słońca,
kryjącego się już za śniegi Sumugu,
igrały złotem i purpurą po wodach i rzucały na szerokie łany
pierwiosnków alpejskich całą
gammę kolorów, począwszy od jasnego róż polnych aż do
błękitu i ciemnego fioletu; tu i
owdzie białe storczyki, kępy zawilców europejskich i
polowych piwonii, odbijały się żywo na
tle majowem równiny.

— Moje kochane rzeczki, moje kochane jeziora! —
zawołał Petko wyciągając do nich
ramiona, deli o was zapomniał, bo wy ciche, spokojne, nie tak
jak moja matka Maryca, co
śpiewa, tak wesoło, tak głośno, gdy z domu swe-

go wychodzi. Petko o was zapomniał, ale Petko zawsze was kocha; Petko i wam da złote rybki, dwie, trzy, pięć, dziesięć!

Nikola, który zbliżył się jak mógł najwięcej bez obudzenia uwagi obłąkanego i jego strażnika, słyszał te słowa zapału i zatrwożył się jego hojnością; gdy więc Petko odpasał trzos i wysypał na rękę kilka sztuk złota, nie mógł się już powstrzymać więcej, zerwał się na nogi, postanowiwszy bądź co bądź zakończyć polowanie.

— Tobie oto jeziorko, wołał Petko, coś mnie karmiło dwa dni twojemi pstrągami, dwa madziary!"

Plusnęły pieniądze kocone w wodę a plusk ich jak szydłem przebił ucho Bułgara. Nikola przyskoczył trzy kroki naprzód i upadł w trawę, bo łania zatrzymała się i poczęła tupać racicami, obrócona ku niemu.

— Ho, ho! wilk niedaleko! nie bój się siostró! świsnął w złożone palce deli i począł śpiewać: „na początku Bóg stworzył słońce."

Na świsnięcie i grzmiący głos pieśni kilka orłów i sępów co się zabierały do noclegu, porwało się ciężko klaszcząc w skrzydła.

— Nie bój się siostró! Tobie rzeczułko, mówił deli podszedłszy dalej naprzód, co mi nigdy nic dać nie chciałaś, chociaż masz wiele rybek i bo-

gata jesteś ale skąpa, na tobie! kamyk; jak ty byłaś zawsze dla Petki, tak Petko dla ciebie. Ha!

ha! smakuje ci kamyk? widzisz jak się wijesz i kręcisz koło niego, ha, ha, ha! ale Petko niema złego serca.

Obłąkany pochylił się i wyjął kamień, który rzucił był w wodę i rozśmiawszy się rzekł:

— „Widzisz rzeczko! nie trzeba być skąpą! pamiętaj na drugi raz, jak głodny przyjdzie do ciebie, to mu daj rybkę choć jedną; Petko od ciebie lepszy — ot tobie madżar skąpa rzeczulko!”

Po tem napomnieniu i szlachetnej zemście pędził dalej obłąkany przeskakując strumienie, jednym nic nie dawał, choć widać było, że nie miał do nich urazy, innym zatrzymawszy się chwilkę rzucił złoty podarunek. Po ostatnim upominku poklepał Petko łanię po szyi i wyciągnął rękę w kierunku Ilusicy i łania na znak ten odskoczyła i pobiegła, o ile mógł za nią jelonek wydażyć ku miejscu, gdzie Rusica wpada do Kriwej Rieki.

Znak ten nie uszedł uwagi bacznego Bułgara. Co znaczy to nagłe rozstanie się łani i ten jej pospiech? Deli musi mieć sposób przejścia owej strasznej rozpadliny, i łania która go zna ale drogą, szalonego iść nie może, pędzi aby ob-

szedłszy przepaść czekać go na drugiej stronie. Rzeczywiście Petko poszedł ku stronie, którą,

wskazał łani. Nikola pod jednym względem ucieszył się, bo się pozbywał jednego nieprzyjaciela, ale pod drugim postrzegał ze smutkiem, że nie może myśleć o zasadzce pod sosną, bo za Rusycą, którą z pewnością Petko przejdzie, wiele jest dróg do Ibaru — a przy tym on, Nikola czy będzie mógł przebyć rozpadlinę jak Petko? Wobec tych trudności z prawdziwą przenikliwością przewidzianych, Bułgar postanowił krok w krok iść za obłąkanym i koniecznie z tej strony Rusicy zakończyć polowanie. Jeżeli się szansa łowca z jednej strony zmniejszyła, to z drugiej sama miejscowość zdawała się mu dopomagać. W kierunku obranym przez obłąkanego leży długi wał kamieni dopierający do łoża Rusicy i chociaż tu i owdzie przerwany, dobrze mógł zakryć ścigającego Nikole, pozwalając mu nawet biedź na wysokości obłąkanego nie dalej niż kilkadziesiąt kroków, co tem łatwiejszem się wydawało, że Petko w wesołym był humorze, śpiewał i wszędzie gdzie napotkał jaki luźny głaz nad przepaścią, spychał go rękami i nogami, śmiał się i wykrzykiwał: „h o b r e m e c z k a! hop niedźwiedziu!” za każdym podskokiem pędzącego w dół kamienia. Głos pieśni delego i łoskot strąconych kamieni, powtarza-

ny echem pomiędzy skałami, zagłuszał cichy szelest wprawnej do biegu stopy Nikola, który

nad spodziewanie swoje jednocześnie stanął z Petką
nad krawędziami rozpadliny, najdalej o pięć kroków,
przedzielony tylko wazką ścianą
głazów, w której jakby umyślnie dla niego znalazł się mały
wyłom, wygodne w razie
potrzeby dający przejście na drugą stronę.

Deli tu stanąwszy zatrzymał się, rzucił na ziemię swą czapkę
i postawiwszy obadwa koszyki
oddalił się nieco i schylony przy kamieniu począł odgarniać
nagromadzone pod nim suche
trawy. Nikola nie spuszczać go z oka przysunął się do
wyłomu, uradowany, że jego ofiara,
koniecznym zmuszona tu powrócić znajdzie się pod lufą
pistoleta; lecz jakież słowa określić
mogą wrażenie strasznej niespodzianki, którą mu na nowo los
zgotował. U pistoleta nie było
kurka! Drżący, przerażony konwulsyjnie chwycił ręką za nóż:
— ręka znalazła za pasem
pochwę próżną! Nóż jak kurek pistoleta musiał Bułgar zgubić
pełzając tyle razy pomiędzy
gałęziami i głazami.

Deli tymczasem z kryjówki swojej wyciągnął jodłową żerdź,
cienką, przeszło trzydzieści
łokci długą, jaką znaleźć można czasem w zwartym
drzewostanie
i zarzuciwszy ją na ramię

szedł lekko pod drżącym ciężarem i myślał snąc o jasnowłosej
w niebieskiej szacie dziewicy,
którą widział był przechadzającą się pomiędzy gwiazdami, bo
zatrzymawszy się westchnął:

„o piękną! piękną ty jesteś Maryjo!”

Bóg złoczyńcę w pokusie rozbroił ze wszystkich narzędzi zbrodni, jakby dla tego żeby mógł w dzień straszny doń powiedzieć: „nie proch winien, nie żelazo winno, ale ręka twoja!” i rzucił ma w ucho ostatnią przestrogę. Nikola jej nie słuchał; jakby oczarowany, cały drżący pożerał oczami pełnemi straszego ognia każdy ruch nieszczęśliwego obłąkanego i skurczony jak pantera gotował się do skoku na swoją zdobycz.

Petko przeszedł koło czapki i koszyków — Bułgar przycisnął obie ręce do piersi jakby chciał zdusić głośno bijące serce i rzekł sobie: „nie czas Jeszcze!... wróci.”

Rozpadlina w tem miejscu była najwyższą; po obadwóch jej stronach gładkich, stromych ścian w pół wysokości sterczały na przeciwko sobie dwa wyskakujące głazy, zaledwie parę stóp kwadratowych powierzchni mające; Petko na głazie, który miał pod stopami, oparł gruby koniec żerdzi, ustawił go pionowo, objął dragi jej koniec oburącz i skurczywszy nogi odepchnął się od krawędzi przepaści, i zawieszony w powietrza za-

kreślił łuk; w połowie jego zatrzymała się żerdź jakby niepewna gdzie się przechyli — deli zaśmiał się jak dziecko i padł na drugi brzeg, gdzie go już łania czekała.

„Ha! pomyślał Bułgar, mam cię teraz bez pistoletu i bez noża; wracaj synu Jeleniego Wracha piekielną twoją drogą!” Deli ściągnął do siebie żerdź

i przesadził przepaść powtórnie śpiewając w powietrzu,
włożył czapkę, przywiązał obadwa
koszyki na plecach i dosiadłszy swego pegaza miał właśnie
dać mu ostrogi, gdy Nikola, który
czatował na tę chwilę, wypadł z swojej kryjówki i porwawszy
go z tyłu za szyję powalił na ziemię, w mgnieniu oka rozerwał
sprzączkę na trzosie i rzucił
go opodal. Nieszczęśliwy Petko wyrwał się z pod kolan
tłoczącego go Bułgara, ale nie miał
już czasu podnieść się na nogi, — nad brzegiem przepaści
kopnięty
w piersi runął w jej głębie.

— Oddaj złote ryby mej matki Marycy! Znam cię złodzieju
ryb moich! wrzeszczał deli,
uczepiwszy się głazu o który żerdź była oparta, i z niesłychaną
siłą
i zrećnością wydzwigiwał się na wierzch kamienia.

Bułgar z piekielnym śmiechem stoczył na głowę
nieszczęśliwego Petki kawał skały; widział
jak spotkał się głaz z broniącą się jeszcze ręką

obłąkanego, — widział, jak kamień i warjat spadał w przepaść
— słyszał głuchy plusk wody
— wyteżył ucho: grzmi tylko woda, jak grzmieć zwykła
zawsze — zapuścił oko w czarną,
głębię: i ujrzał na śniegach piany długie, czerwone pla-
my wirujące na wodach szybko pędzącej Rusicy. Obejrzał się
zbrodniarz w koło: nikt go nie
mógł widzieć, biedna tylko łania biegała zakłopotana,
nad krawędzią.

— Ha! swerszena robota! zawołał w końcu, otarł pot z czoła,
porwał trzos
i zginał pomiędzy skałami pędząc ku Jakurutskiej
płaszczynie.

Księżyc był już wysoko, gdy Nikola ciągle przed siebie
idący usłyszał psów szczekanie i
ujrzał w dali ogniska czobańskie; zatrzymał się,
siadł w wąwozie pod świerkami, wysypał w baranią czapkę
złoto z trzosa: było sztuk .., a
pomiędzy niemi wiele sztuk tak wielkich jak srebrne Marji
Teressy.

— Gulame paryte! wielkie pieniądze! Nikola! będziesz
wielkim tudiarem (kupcem),
wielkim gospodynem! powtarzał uradowany Bułgar spijając
wino
z Dymitrego baryłki.

W parę tygodni powrócił Nikola do swojego pana, biskupa,
był u niego jeszcze z miesiąc

służbie, a potem wydalil się i nikt o nim nigdy nie słyszał w
okolicy.

Bielił się już cały łańcuch gór Rylskich, ścięły się już rzeki i
wszystkie górne drogi do
klasztora zawałone były śniegiem, gdy jednego wieczora
ujrzeli zdumieni zakonnicy na
najwyższej igle Jeleniego Wracha wielki płomień. Miał-
żeby to deli być w odwiedzinach u swojego ojca? Ogień
podsycany niewidzialną ręką gorzał

noc całą. Nazajutrz gdy słońce weszło i klepadło *) na niedzielne wielkie nabożeństwo zwoływało kalugierów, przed bramą klasztoru pojawił się jakiś starszy człowiek, prawie nagi, z krzywą suchą jedną ręką, bez oka, bez policzka prawie, niosący ogromny wieniec z gałęzi cisowych z czerwonymi jagodami przepleciony kwiatem złotych nieśmiertelników. Przerażeni pandurzy klasztorni nie ludzką tą postacią obsypaną śniegiem, stanęli w bramie by nie przypuścić tego nieznanego człowieka.

*) Turcy dopiero od krymskiej wojny pozwalają mieć po kościołach małe dzwonki do zwoływania na modlitwy; używano i używa się na to drewnianego wielkiego zawieszzonego na sznurze klepadła.

— Z drogi! zawołał rozkazująco nieznanomy, — puśćcie mnie do dziewicy w niebieskiej szacie, w koronie z gwiazd dwunastu, i wyciągnął drżącą krzywą wychudłą rękę ku pandurom, jakby chciał nią zatrzymujących go z drogi swej odsunąć. Rozstąpili się pandurzy z trwogą, Kładnąc na piersi znak krzyża.

Nagi żebrak szybko przeszedł podwórze klasztoru i przez wielkie drzwi wszedł do cerkwi, biorąc z ręki zdumionego zakrystjana najgrubszą świecę, którą zapalił u gorejącej lampy. Zakonnicy i lud rzucił się był właśnie na kolana, z usza-

nowaniem i czcią przed ciałem i krwią Zbawiciela, który
wzniósł w górę igumen złotą
odziany kapą — gdy z dzikim wieńcem cisowym w zdrowej
ręce a w drugiej wyschłej z
palącą się gromnicą krocząc spokojnie, uroczyście sunął się
stra-
sny człowiek ku obrazowi Najświętszej Panny. Zadrżał
kielich w ręku igumena, wszystkie
się oczy zwróciły na żebraka — on zawiesił wieniec na obraz,
utkwiał przed nim gromnicę i
upadłszy krzyżem zaryczał straszliwym głosem:
— Święta Maryjo! Petko idzie szukać złodzieja ryb swojej
matki! Petko idzie szukać
złodzieja oka swojego i krwi swojej! Maryjo święta prowadź
Petkę! Święta dziewico w
koronie z gwiazd dwunastu prowadź Petkę!!

Na tę rozdzierającą modlitwę wyrwało się straszne „amen!”
całego ludu.

Nabożeństwo się skończyło; — cerkiew się wypróżniła a
obłąkany jeszcze leżał na
lodowatych płytach podłogi i modlił się łkaniem. Igumen
zdjęty litością, trącił w ramię
biednego delego: „Wstań synu!” Petko wstał, spojrzawszy okiem
które mu się zostało, zalanym łzami na obraz święty i zawołał
raz jeszcze: „Panno święta
prowadź syna Jeleniego Wracha i Marycy!”
Widać, że zakonnicy nie mogli mimo śniegowej zamieci
zatrzymać obłąkanego
w klasztorze, bo nie długo potem człowiek ten żelazny

wyszedł z niego w nowej koszuli i baraniej okrągłej czapce, z
koszykiem pełnym chleba i
poszedł
w... świat, przed siebie krokiem pewnym; widziano go tylko
na chwilę zatrzymującego się i
patrzącego na szczyt Jeleni-Wracha,— wyciągnął wyschlą
rękę i zawołał:
— Bądź zdrów ojcze! Petko idzie szukać złodzieja ryb twoich
i Marycy; złodzieja krwi i oka
swojego! I Petko go znajdzie!! *)

*) Oko artysty, poety widzi cały dramat, całą Odysseę idąc
za krokami tego warjata
puszczającego się w świat dla odszukania swojego zbrojcy, i

Głęboko w Anatolii, w mieście jednym Armenii mieszkał
raja niepewnej narodowości;
miano go za Greka, bo mówił po grecku i należał do kościoła
greckiego a Turcy zwykli za
jedno brać narodowość z religią, nazywał się Hadzi
Aristaki. Człowiek ten był najbogatszym w całej okolicy; nie
było w prowincji miasteczka,
gdzieby nie posiadał domu, magazynów najlepiej położonych
w bazarze, lub przynajmniej
jakiego młyna lub winnicy, — a w około miasta gdzie prze-
mieszkiwał, na kilka godzin jedna trzecia ziemskich
posiadłości należała albo zupełnie do
niego, albo miał w niej część znaczną. Jakim sposobem
doszedł ten człowiek do kolosalnego
jak na Turcję majątku, nie wchodzono; Orient jest

krajem gdzie słowa cesarza Wespazjana dającego synowi
swojemu do powąchania złoto z
podatków na kloaki nałożonych: „pieniądz nie ma zapachu”
znane są od wieków i słuszość
ich ma się za udowodnioną.

Hadzi Aristarki nie był lubiony od chrześcijan, był dumny i
nieuczynny
i gniótł wszyst

ogarnia obszary Turcji pełne dzikiej piękDości. Opowiadacz
tej legendy widzi to wszystko —
brała go pokusa stać się cieniem szalonego Petki i pomyślał
sobie: „tchu mi braknie do tej
niebezpiecznej drogi.” Przyp. autora.

kich ciężarem swojego majątku, lub poniżał blaskiem zbytku
którym lubił się otaczać. Dla
effendich tureckich był niesłychanie grzeczny; przed
wszelkim urzędnikiem począwszy od
baszy i kajmakama aż do prostego czausza płaszczył
się, umiając dawać każdej randze i towarzyskiemu stosunkowi
effendiego, którego miał przed
sobą, stosowną dozę kadzidla i uniżoności. W konaku, prawie
co dzień rano, Hadzi Arystarki
pojawiał się jeszcze przed czybukczymi gubernatora, którzy
hojnie obdarzani z pospiechem
częstowali go cybuchem i kawą podawaną z uszano-
waniem. Przez nich dowiadywał się magnat o wielu rzeczach
z których umiał korzystać.

Każdy gubernator jeździł na pysznym koniu bogato
osiodłanym, który był podarunkiem

Hadżit Aristarkiego i w kłopotach finansowych osobistych lub administracyjnych, gdzie nie było w kasie pieniędzy a o nie z Stambułu naglono; gdy potrzeba było zaspokoić hawalę przysłaną przez komendanta korpusu armii, był zawsze pewnym że na każde jego zawołanie znajdzie się u Hadżego parę kroć stotysięcy piastrów.

Nigdy uczynny raja nie brał procentów i z cierpliwością czekał częściowego zwrotu pożyczonego kapitału. Często połowy nawet nie ściągnąłszy, w święto Bajramu lub przy innej jakiej spo-

sobności cichaczem wsuwał gubernatorowi w rękę senet (rewers) całkowitej summy.

Hadżi wiedział zawsze czego brakło każdemu począwszy od spiżarni aż do haremu i zawsze na czas umiał zaspokoić naglące obecnie potrzeby lub ze szczególną przenikliwością przewidziane na przyszłość.

Ale za to Hadżi Aristarki był kapudzim, szambelanem padyszacha, nosił w dzień powszedni wstążeczkę a w dniu uroczyste z dumą zawieszał order medżidie; był członkiem medżilisu, członkiem trybunału; ale zato (co więcej znaczy niż tytuł beja i order) wolno mu było z pokorą przysuwać się do ucha gubernatora i kadego i szeptać w nie tajemniczo; ale za to Hadżi nabywał dziesięciny całej często prowincji i skarżył się że na nich traci, — ale zato Hadżi nie przegrał żadnego procesu a miał ich zawsze mnóstwo.

Wiedziano, że Hadzi, zanim został szambelanem i bejem,
przybył do kraju
i skromnie zaczął budować swoją fortunę, wypożyczając
pieniądze, które przywiózł ze sobą,
na wysokie procenta a pewne zastawy; skupował w górach
kunie skóry; jeździł sam co rok i
nabywał skóry kóz angorskich zaliczając ich wartość na dwa
lata z góry biednym chłopom,
tórzy nie mieli

czem płacić podatków i po dwóch lub trzech latach stawał się
panem i trzody
i ogrodów i pól i ich domów. Ożenił się później z wdową
najbogatszego kupca i właściciela
która miała kilkoletniego syna. Wdowa spieniężyła cały
prawie swój majątek; wkrótce syn jej
zachorował. Hadzi sprowadzał zewsząd doktorów, których
hojnie płacił, — złoto jednak jego
i cała biegłość lekarzy nie zdołały dziecka ocalić. Ojczym
gorzko płakał a potem rok cały
nosił żałobę. Po stracie syna
biedna matka z żalu wpadła także w chorobę, która ciągnęła
się długo
i nieszczęśliwy Hadzi spędziwszy dwadzieścia bezsennych
nocy u wezglowia ukochanej
swej Katynki, pochował ją łzami zalany. Drugi raz żenić się
nie chciał, ale biskup umiał go
przekonać, że bez kobiety rządnej w domu, majątek jego choć
znaczny roztrwonić się musi;
że zresztą człowiek bez dzieci, jest jak

figowe drzewo bez owocu i ożenił go z swoją siostrzenicą,
która mu w posagu nic nie
przyniosła prócz ładu w domu, obrotnej głowy i miłości
pieniędzy. Bóg pobłogosławił to
małżeństwo szybko rosnącą fortuną. W parę lat, na szyi, na
głowie, na palcach i w uszach
żony Hadżego znalazły się wszystkie dyjamenty, rubiny i
perły kobiet całej prawie okolicy;
taką samą koleją przeszły w ręce Hadżego domy, ogrody,
młyny, sady, wsie,

nawet całe w około miasta, w głębi prowincji i po za jej
granicami. Szczęśliwemu temu
małżeństwu dał Bóg dwóch synów, ale jednemu z nich ospa
wydarła oko
i prawie wyżarła jeden policzek, drugi urodził się z suchą
ręką.

Nie cierpiano powszechnie Hadżego Aristarkiego, kapudzi-
beja i kawalera, nikt nie śmiał
jednak otwarcie go atakować, chociaż było i o co, bo bej był
wszechmocny i miał
niewidzialną, długą rękę, daleko sięgającą; szeptano więc
tylko pokątnie i cieszo się w
duszy gdy czasem ktoś odważniejszy jakim słówkiem
zadrasnął potentata.

To zdarzało się dość często, ale gdy pewnego razu
rozmawiano jakim sposobem robi się
majątek i Hadzi obecny rzekł: „panowie, majątek jest jak
chleb, — jeżeli dobre są drożdże i
dobrze ciasto zaczynione, to i chleb rośnie,” — je-

den ze słuchaczów odezwał się: „Hadzi ma słuszość, od drożdży wszystko zależy, a te podobno są najlepsze gdy się do nich doda łez i krwi,” — i przypadek zdarzył że w parę dni umarł nagle ów autor nowej recepty na drożdże, zaprzestano żartować i poczęto szeptać między sobą ciszej i oględniej.

Twardy dla wszystkich ten spanoszony raja, miał przynajmniej jedną dobrą stronę litował

się zawsze nad losem warjatów, wydawał co rok znaczne sumy na ich odzież i życie. Nie raz podawał myśl zbudowania dla nich domu ochrony, oświadczając z góry, że gotów sam dać grunt, ponieść wszystkie koszty budowy i wyznaczyć żelazny fundusz na utrzymanie porządnego zakładu; starał się pilnie o to, aby po ulicach w mieście nie widziano nigdy obłąkanego, w czym mu władze dopomagały. Wielu oszustów znając tę stronę Hadzego, czyhało na jego przejście udając obłąkanych i nigdy się nie zdarzyło, żeby Hadzi nie dał przynajmniej srebrnej medzidii i ludziom swoim nie zalecił rozpytać się o ich potrzebach i nie targując się nigdy wyznaczył i pensją z warunkiem, żeby ich nigdy włączających się nie widziano.

- Pensje dla warjatów były jednym z najgłówniejszych dochodów kiahai beja (fac-totum) i jego saisów; synowie nawet jego własni gdy nie mogli wyłudzić u skąpego ojca liry na grę w

karty, która była ich namiętnością pomimo dzieciennego wieku,
przebierali z wiedzą kiahai
komadrzich (szulerów) za warjatów i płacili swe karciane
długi dzieląc się z nimi i z kiahają,
który dzieci także ogrywał, datkiem oszukiwanego ojca.
Pewnej niedzieli Hadzi Aristarki z żoną i

swoimi dwoma synami był w jednym z swych licznych
ogrodów przy mieście, dokąd zaprosił
kilku zamożniejszych sąsiadów na kief majowy. Bawiono się
jak zwykle paląc fajki i nargile,
grając w warcaby i tryktrak, kobiety rozmawiały ogryzając
liście młodej sałaty m a r u i,
którą pożywały na przemian z pieczonemi ziarnami melonów;
czarki pełne doskonałej
mastyki, którą kilka kropli wody zabielały jak mleko, krążyły
zwykłym trybem; bęben z
dzwonkami i piszczałka, która w niczem się nie odmieniła od
czasów swojego wynalazcy
Jubala, wtórowały pieśniom śpiewaków; dziatwa biegała
hałasując i bijąc się między sobą;
synowie pana beja z kilkoma dorostkami grali w karty.

— Dymitraki, rzekł chłopak o suchej ręce do swego
jednookiego brata, pożycz mi dwa
piastry.

— Alboż nie widzisz Pawiaki, że przegrałem wszystko i
tylko mi dziesięć par zostało? Idź
do ojca, proś go o lirę, to i mnie dasz medzidię.

— Nie da ojciec nic, bo wczoraj widział, jak wziąłem u
matki dwie medzidie — idź ty.

— Prawda! rzekł Dymitraki i podrapawszy się w głowę podsunął się z nieśmiałością do ojca grającego w warcaby.

— A ty czego chcesz synu ? zapytał Hadzi nie odwróciwszy głowy od warcabnicy.

— Ojczy! daj mi lirę.

— Ho, ho, lirę? nie dostaniesz nic.

— Effendim, odezwał się z cicha tuż siedzący kiahaja, i dzieci się bawią.

— Jak ja byłem dzieckiem, ojciec mi lir do zabawki nie dawał; chociaż mógł dać — dodał bej z przyciskiem i po dwóch posunięciach pionów sięgnął do kamizelki, dobył srebrną medzidie i rzucił ją na trawę przed wyczekującego W milczeniu Dimitrakiego.

Chłopiec podniósł skrzywiwszy się pieniądz i spojrzał na kiahaję, który mu odpowiedział znaczącem mrugnięciem oka.

— Będiesz miał warjata, stary skąpcze! bąknął pod nosem synalek obrażony chudym podarunkiem ojca.

— Słuchaj Pawle — rzekł Dymitry na ucho swemu bratu powróciwszy do kart, dał tylko medzidie. Idź poszukaj saisa Iwańczę, trzeba warjata — nie da przez jakie dni dziesięć ani paryczki.

— Bądź spokojny! choćbym nie znalazł saisa, sam poszukam warjata; widziałem co tylko cygana, co już nam nie raz pomagał.

— Ale kiahaja!

— Kialiaja nic nie powie, nie bój się! kiahaja pozwolił. Sprytny Pawełek wysunął się z ogrodu i po małej chwili powrócił uradowany.

— A co — zapytał się Dymitry, wybiegłszy naprzeciwko brata.

— Jest! jest Dymitraki! jest prawdziwy! a straszny — ma suchą rękę jak ja i twarz bez oka jak twoja. Spotkałem go przy fontannie, popatrzył się na mnie i krzyknął: „tyś jego syn!” Idzie tu za mną! Patrz, żeby kto bramy nie zamknął, spiesz się! zamykają bramę! Straszny wariat... za tego da stary z dwadzieścia, z trzydzieście lir. Bramę rzeczywiście zatrzasnęła służba, spostrzegłszy warjata, którego nie zaimprovizowała, ale ten wskoczył na mur, z niego na konary lipy, pod którą grał Hadzi Aristarki bej, kapudzi baszy i w jednej chwili spadłszy pomiędzy zadziwionych i strwożonych graczy piorunującym zaryczał głosem:

— Oddaj złodzieju złote ryby mojej matce Marycy! oddaj oko! oddaj rękę synowi Jeleniego
Wracha!

Hadzi Aristarki rzucił się wstecz blady, drżący; nagle krwią mu nabiegły oczy, przypadł ze wściekłością do obłąkanego porwawszy nóż ze

stoliczka, ale ręce rzuciły nóż, i obie przycisnęły

się do oczu a on jakby sam szalony zawołał:

— Ogień gwiazd twojej korony, panno straszliwa mózg mi wyżera! Petko! miłosierdzia!

— Oddaj ryby Marycy! oddaj oko! Oddaj rękę jej synowi!

— powtarzał grzmiąco szalony i

jak gdyby jego szaleństwo było zaraźliwem, syn jednooki

począł wołać: „o j c z e o d d a j

m i o k o!" a drugi wstrząsając suchą ręką krzyknął: „o j c z e

r ę k ę m o j ą, r ę k ę m i

o d d a j! m o j ą."

Wyrwał się Nikola, bo nim był ten Grek spanoszony, z

pomiędzy groźnych wykrzyków

obłąkanego i swoich synów, wywalił piersiami bramę i

wypadłszy na pola uciekał do miasta

zgubiwszy fez z głowy a za nim Petko gnał z dwojga dziećmi

wołając: „oddaj złote ryby! odaj

oko ojczye oddaj rękę!" W mieście pogoń zwiększyła się

chmarą dzieciaków i ciekawców i

każdy nie wiedząc o co chodzi

z radością krzyczał za znienawidzonym Hadżim: „oddaj!

oddaj!"

Hadzi Aristarki tak ścigany dopadł nareszcie podwórza

swojego domu, zabarykadował

bramę i skrył się w najodleglejszym pokoiku. Deli Petko,

którego policja chciała pochwycić,

wysunął się i znikł gdzieś w mieście, — dzieci tylko

otoczone ciżbą biły rękami i nogami w bramę,

krzycząc zmęczone ochryłym głosem: „ojczye! oddaj rękę!

ojczye! oddaj oko!"

Wyłamano bramę i po długich poszukiwaniach odkryła żona
nareszcie kryjówkę męża,
który leżał na podłodze z oczami osłupiałymi i powtarzał: „kto
mówi, że ja otrujęm? kto
mówi, że ja Nikola? Straszna ty jesteś dziewico w twojej
niebieskie szacie, w wieńcu z
gwiazd dwunastu!"

W nocy uspokoił się nieco i zasnął, ale o północy ktoś
zapukał w okno. Nikola siadł na
posłaniu i ujrzał na szybie suchą rękę Deli Petki, który doń
wołał: „oddaj złote ryby matce
mojej", zerwał się drżący, nappełnił ogromny trzos złotem
i wyrzucił go przez okno zwinięty w szmaty rozdartej
jedwabnej sukni swej żony. Deli znikł i
nikt go nie widział więcej; ale nazajutrz wpadły dzieci do izby
chorego ojca i targając go za
włosy krzychały szalone: „Ojcze oddaj oko! rękę
oddaj ojciec!"

Nikola w kilka dni zwarjował zupełnie, wpadał w
szaleństwo i raz porwawszy za włosy
swoich synów powłókł ich w podwórze do studni i rzucił się w
nią z nimi.

Z ogromnego majątku nic się wdowie nie zostało; zewsząd
spadały na nią procesa, które
przegrała wszystkie; ziemie, domy, magazyny, młyny,

winnice przeszły w ręce dawnych właścicieli dobrze
poogryzane przez kadych,
i dumna pani pomimo swojej obrotnej głowy, wróciła do
biskupa bogua, z bolesną pamięcią
przeszłej świetności.

Biskup, którego osiołek zapadł się był przed dwudziestu laty
w dolinie bramy Trajana,
doszedł do bardzo sędziwego wieku i żył jeszcze. Jednego
wieczora, gdy się zbierał do
spoczynku, usłyszał znany mu głos, błagający służbę:
„Puśćcie
mnie do syna świętej Góry” i uradowany kazał drzwi
otworzyć.

— Tyżeś to Petko!? zawołał z boleścią, widząc przed sobą
wychudłego, nędznego starca, z
wybitem okiem, bez policzka i i z uschlą ręką, —
a co z tobą się stało synu Marycy i Jeleni Wracha?

Petko upadł do nóg biskupa i złożył u nich sakwę, którą
dźwigał na sobie:

— Ojcze, to przynoszę z dalekiego kraju, z Armenii — weź
to, bo to twoje, — wyciągnął z
sakwy w zielony kawał jedwabiu zawinięty
trzos i wysypał z niego złoto na podłogę.

— Jako? to złoto jest moje? a przynosisz je synu Jeleni
Wracha z Armenii? zapytał
zdziwiony biskup; mnie prawda zginęły były kiedyś pieniądze
w takiej zielonej chustce —

ale ich tyle nie było. Synu zkad masz te pieniądze, możeś ty
kogo okradł, możeś zabił kogo?

— Synu Świętej Góry! rzekł z dumą deli,— Petko kraść?
Petko, zabijać? I ty,
i ty nie poznałeś syna Marycy i Jeleni Wracha! Daj mi
kawałek chleba i wina, bo głodny
jestem i zimno, strasznie zimno — a opowiem ci wszystko.

Całą noc słuchał biskup historii Petki; dowiedział się o jego zamiarze zamieniania ryb w rzekach i jeziorach na złote aby ludzie mogli łowić sieciami i wędką i nie potrzebowali dla niego zabijać i sprzedawać swych braci; dowiedział się jakim sposobem spadł osioł i co się z trzosem stało i domyślił się kto nad Rusicą zrabował nieszczęśliwego obłąkanego; z ciekawością słuchał gdy deli, który się zdawał być zupełnie zdrowego umysłu, opowiadał jak łania go na pół martwego wyciągnęła z Rusicy i parę miesięcy karmiła mlekiem, jak był na pożegnanie u ojca i zawiesił cisowy wieniec na obrazie Najświętszej Panny w Rylskim monasterze; jak dwadzieścia lat szukał zbrodniarza w Bułgarii, Serbii, Bosnii, Grecji jak był pomiędzy Arabami i Kurdami i jak go znalazł nareszcie niedaleko Wanu w Armenii.

— Dziękuję ci synu Świętej Góry! Rzekł kończąc opowiadanie swoje Petko, dziękuje ci

żeś mi dopomógł zastępując mnie w sianiu gwiazd na niebie, jak cię o to przy kuluku prosiłem; wiedziałem żeś o mnie nie zapomniał, bo wszystkie gwiazdy były na swoim miejscu — byłem więc spokojny i szedłem nie myśląc o gwiazdach; zapomniałem śpiewać nawet! Pędziłem... pędziłem przed siebie i znalazłem go! znalazłem go! wielkiego pana!! i zostawiłem go szalonym!

Daj mi twą rękę synu Świętej Góry! wierny przyjacielu!
niechaj ją Petko ucałuje raz ostatni!
Kaź zaprządź konia do małych saneczek... odeszlij Petkę pod
Mussalę, bo od wczoraj drżą
jego nogi bez siły... bo już Petce zimno... zimno!
a Petko chce jeszcze pozdrowić ojca, pozdrowić matkę, i
świętej Dziewicy
w Rylskim monasterze zanieść wieniec. Daj mi synu Świętej
Góry ów obrazek, który mi
przysięgłeś. Dajcie wina — zimno, zimno biednemu Petce.

Napróżno starzec prosił, napróżno błagał obłąkanego ze
łzami aby się został, parę dni
odpoczął, on na prośby odpowiadał: „puść mnie wierny
przyjacielu! ja muszę. Nie dasz sani?
stary Petko powlecze się jeszcze dojdzie. Dajcie mi kozuch na
sanki, okryjcie biednego Petkę
bo zimno, zimno!!”

W kilka dni po tych odwiedzinach u biskupa, jednej nocy
zapłonął wielki ogień na szczycie

Jeleniego Wracha i nazajutrz przed świtem zakonnicy, idący na
modlitwę do cerkwi, znaleźli
człowieka skostniałego; leżał rozkrzyżowany trzymając
obrazek Najświętszej Panny w
koronie gwiazd, a na obrazie wisiał w cerkwi wielki świeży
wieniec z cisowych gałęzi.

Pandurzy klasztoru otworzywszy bramę zdziwili się mocno
widząc przed progiem ciało łani,
na wpół zasypane śniegiem. Była bardzo widać stara, bo włos
jej był srebrny.

P r z y p i s e k. Powiastkę tę słyszeliśmy od czobanów na stepach Dobrudzi; jeżeli się nie mylimy, czobani byli z Kotła a trzoda należała do bogatego mieszkańca tego miasta, Hadzi Petra. Kilka osób którym daliśmy do czytania ten mały utwór szukało podobieństwa między Nikołą a żyjącymi indywidualami. Zaręczamy że kreśląc obraz Nikoli nie mieliśmy żadnego rzeczywistego wzoru; podobieństwo, gdyby się jakie i znalazło, nie zadziwiłoby nas zupełnie, bo w kraju, w którym zdarzenie miejsce mieć miało, naliczyć, można wiele fortun których początkiem była niewierna służba — kradzież, a nawet... i spółka z rzezimieszkami i rozbójnikami. Słuchając opowiadania czobanów myśleliśmy sobie jak godnym politowania jest kraj, gdzie się urodziła legenda, mówiąca że szlachetnych uczuć szukać trzeba w duszach szaleńców; jak smutnym jest kraj gdzie sprawiedliwość Boża tylko w ramieniu wariatów znaleźć może pewne i wierne narzędzie do wykonania swoich świętych wyroków.